ŁOWIEC POLSKI



„Na ciągu" rys. S. Rozwadowski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (952) Marzec — 1948 r. Cena zł 50

ROZPORZĄDZENIE MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH

z dnia 14 maja 1947 r.

O OCHRONIE NIEKTÓRYCH ZWIERZĄT ŁOWNYCH (Dz. U. Nr. 39).

Na podstawie art. 1 i 51 ust. 1 lit. a), b), c) i d) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnią 1927 r. o prawie łowieckim (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu ustalonym art. 5 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr 67, poz. 622) zarządzam, co następuje:

§ 1. Czas ochrony, ustalony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckim, rozszerza się tak, że obejmuje on:

1) dla jeleni-byków—w woj. białostockim, poznańskim, gdańskim, szczecińskim, olsztyńskim, pomorskim i wrocławskim okres od 1 listopada do 15 września;

2) dla sarn-kozłów:—w woj. olsztyńskim, krakowskim, łódzkim, pomorskim i poznańskim okres od 1 listopada do 31 maja;

3) dla borsuków:—okres od 1 grudnia do 15 września;

4) dla wiewiórek:—okres od 1 marca do 30 listopada;

5) dla zajęcy-szaraków:—okres od 15 stycznia do 31 października;

6) dla głuszczów-kogutów:—w woj. krakowskim, białostockim, rzeszowskim, wrocławskim, łódzkim okres od 15 maja do 31 marca;

7) dla cietrzewi-kogutów: — w woj. krakowskim, białostockim, rzeszowskim, wrocławskim, łódzkim okres od 15 maja do 31 marca;

8) dla jarząbków: — okres od 1 lutego do 30 września z wyjątkiem woj. gdańskiego;

9) dla bażantów-kogutów: — w woj. łódzkim, szczecińskim, poznańskim i wrocławskim okres od 1 lutego do 31 października;

10) dla kuropatw:—w woj. olsztyńskim, kieleckim, krakowskim, gdańskim, łódzkim, pomorskim, poznańskim, szczecińskim, warszawskim i wrocławskim okres od 1 grudnia do 31 sierpnia;

11) dla słonek:—okres od 15 maja do 31 sierpnia;

12) dla batalionów:—okres od 1 czerwca do 15 lipca;

13) dla dzikich kaczorów:—okres od 1 czerwca do 15 lipca;

14) dla dzikich kaczek:—okres od 1 stycznia do 15 lipca;

15) dla innego ptactwa błotnego i wodnego:—okres od przylotu do 15 lipca;

16) dla dzikich gęsi: — okres od przylotu do 31 sierpnia;

17) dla dzikich gołębi:—okres od przylotu do 31 sierpnia.

§ 2. Wprowadza się czas ochronny:

1) dla dzików:—okres od 1 marca do 31 maja;

2) dla kun leśnych (tumaków): — okres od 1 marca do 31 października;

3) dla niedźwiedzi, 4) dla rysi, 5) dla żbików, 6) dla norek, 7) dla orłów, 8) dla muflonów: — przez cały rok.

§ 3. Zabrania się całkowicie polowania na:

1) łosie-byki;

2) jelenie-byki: — w woj. kieleckim, krakowskim, lubelskim, rzeszowskim, warszawskim i łódzkim;

3) daniele-rogacze;

4) sarny-kozły:—w woj. białostockim, kieleckim, lubelskim, rzeszowskim, warszawskim, szczecińskim, wrocławskim i gdańskim;

5) cietrzewie-koguty: — w woj. warszawskim, szczecińskim, kieleckim, gdańskim, pomorskim, lubelskim, poznańskim i olsztyńskim;

6) jarząbki:—w woj. gdańskim;

7) bażanty-koguty:—w woj. białostockim, kieleckim, krakowskim, lubelskim, olsztyńskim, rzeszowskim, warszawskim, pomorskim i gdańskim;

8) kuropatwy: — w woj. białostockim, lubelskim, rzeszowskim;

9) dropie i dropie-kamionki (strepety); 10) drozdy; 11) puchacze.

§ 4. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 czerwca 1947 r. i obowiązuje do dnia 31 maja 1948 r.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:

Jan Dąb-Kocioł.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 3 (952) 1 9 4 8 Marzec



Czarodziejki wiosenne... *rys. K. Tarnowski*

JÓZEF JASTRZĘBIEC-SZCZEPKOWSKI.

U ŹRÓDEŁ PRYPECI

(Żonie mojej, niestrudzonej towarzyszce tych pierwszych wspólnych łowów, poświęcam).

Polesie wołyńskie...

Piaszczystym, wysadzanym topolami traktem, spowitym w nieśmiałe jeszcze, miękkie, różowe odblaski poczynającego się zachodu, leniwie ciągnie się nasz prymitywny wózek, iście żółwim tempem pochłaniając ostatnie kilometry, dzielące go od kniei. W powietrzu spokój i cisza przedwieczornej godziny. Od jezior, co zdają się występować z nazbyt płaskich brzegów, płynie ledwie uchwytny chłodniejszy powiew o cierpkiej woni butwiejących wodorostów. Czasem, skroś szmeru kół, dojdzie uszu plusk fal, lub urwane kwakanie wybierających się na żer dzikich kaczek. Hen, w dali czernieje wstęga lasu. Tam, spośród niezgłębionych, dziewiczych trzęsawisk, gdzie tylko wilk szuka spoczynku po trudach zbójeckiej wyprawy, lub słonka wije swe gniazdo, bierze początek największa z poleskich rzek — Prypeć. Skądkolwiek spojrzeć, bór zawsze zamykać będzie wkrąg pole widzenia zwartym, niby z granitu ukutym, murem. Ale w miarę upływających kwadransów zwarta napozór ściana strzępić się pocznie w dziesiątki enklaw i kęp wysuniętych daleko w pola, jak gdyby na świadectwo

wyłącznego do niedawna panowania na całym obszarze.

Dopiero o grubym zmierzchu zanurzamy się w puszczańskie, czarniejsze od nocy, korytarze.

Świt zastaje nas już na nogach. Pierzcha zmęczenie, wywołane przeszło dwudziestogodzinną podróżą, w obliczu bliskiego zetknięcia się z puszczą.

A dzień zapowiada się pogodnie. Wprawdzie w olszowym gaju, przez który wije się wąska, błotnista dróżka, mrok zalega jeszcze gęstymi płatami, ale wąski pas nieba w górze coraz cieplejszym nasyca się błękitem i coraz ostrzej odcinają się na nim, niby wycięte z papieru sylwetki, wierzchołki drzew.

Na zrębie jest za to zupełnie jasno. Tutaj lustruję z niewielkiej odległości pierwszego kozła, spoglądającego z zaufaniem na wolno toczący się pojazd. W szkłach lornetki rysuje się wyraźnie obiecujące poroże młodego szóstaka, w bystrych świecach nie znać cienia niepokoju. Z rozbrajającą nieświadomością niebezpieczeństwa nie reaguje nawet, gdy przemykam się od drzewa do drzewa powracając na wózek.

Nieco dalej znów para saren. Wszystko kozy, niektóre z młodymi. Rewir zdaje się być zasobny, a co ważniejsze, zwierzyna nie przepłoszona, mimo trudnego do upilnowania terenu. Radośnie uśmiecha się, słysząc pochwałę, stary Goruń, gajowy z dziada pradziada, którego przodkowie stróżowali w tych samych lasach jeszcze przed rozbiorami. Żwawiej pulsuje serce myśliwego w przeczuciu nieuniknionego spotkania.

Tymczasem zza lasu wytacza się słońce w jednej chwili rozpromieniając pierwotny, surowy nieco krajobraz. Każdy krzak, drzewo, czy najmniejsza trawka zdają się być samodzielnymi źródłami światła. To zawieszone bez liku krople rosy, łzy pokonanej nocy, grają wokół tęczowymi błyskami. Nawet martwe, rozwleczone po zrębie wstęgi oparu, przesycone jasnością, nabierają opalowych lśnień.

Z niewielkiego bagienka, skrytego wśród spróchniałych, napół wykarczowanych pni i gnijących gałęzi, porywa się nagle wielki, ciemny ptak. Przeciąga nisko nad nami tak, że bez trudu można dostrzec długi dziób, wiśniowe nogi i białą kamizelkę na piersi. Dopiero jednak gdy zatoczywszy niewielkie koło wtopił się bezpowrotnie we mgłę, odzyskuję zdolność kojarzenia pojęć.

Czarny bocian! Kilkakrotnie jeszcze widywałem tego rzadkiego ptaka, bądź w tym samym miejscu, bądź płynącego w powietrzu, zawsze z niezmiennym wzruszeniem śledząc jego sylwetkę,a przecież pierwsze nasze spotkanie o świcie, w świętą godzinę przyrody, wciąż rysuje się w pamięci, nieodarte z żadnej z kraszących je barw, wiecznie świeże, jakby dopiero przed chwilą przeżyte.

Decyduję się wreszcie opuścić zrąb. Przeszukujemy teraz wielką połać zagajników o mnogich, zazdrośnie przez gąszcz strzeżonych polanach, przecinamy obiecujące brzeźniaki, z księgi tropów staramy się odczytać kronikę ostatnich wydarzeń w kniei. Broń gotowa do strzału spoczywa na kolanach. Napróżno... Las zdaje się wymarły, a doskwierające coraz silniej słońce wskazuje na późną godzinę, skłaniając do zaniechania łowów.

Zawracamy ku leśniczówce. Dzikie ostępy, wymarzone ramy dla spotkania zwierza, jeden po drugim pozostają za nami, wraz z nimi pierzcha nadzieja. Kiedy wózek wytacza się na bardziej uczęszczaną przecinkę mam jej akurat tyle, że zdaję się na ostatnią z myśliwskich instancji — przypadek. I właśnie wtedy dostrzegam w rzadkiej drągowinie mocnego szóstaka z kozą. Nie potrzebuję nawet sięgać po lornetkę. Na odległość 130 kroków gołym okiem oceniam piękno parostków. Ześlizgnięcie się na ziemię jest kwestią sekundy. W drugiej rzucam szybki strzał. Kozioł chwieje się, pada, usiłuje wstać i znów pada. Druga staranniej mierzona kula



Prypeć o kilkanaście km. od źródeł
fot. J. Szczepkowski

w nasadę karku kładzie kres cierpieniom. Trofeum było godnym ukorowaniem tego pełnego wrażeń ranka — pierwszego ranka na Polesiu. Parostki niezwykle harmonijne w liniach, wysokie, o poważnej rozłodze i pięknie rozwidlonych odnogach, są najlepsze z sześciu wywiezionych z tego łowiska.

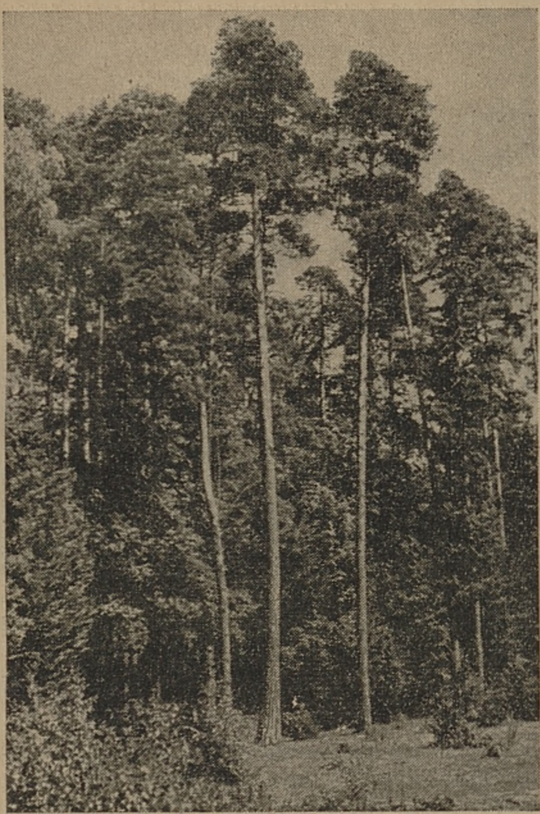
Niewiele im ustępuje poroże drugiego z kolei kozła, zdobyte w parę dni później. Był to stary, choć jeszcze bardzo mocny wstecznik o parostkach pozbawionych zupełnie odnogi przedniej i dziwacznie wstecz odgiętej łodydze, osadzonej na wspaniałych różach. Padł w ogniu na skraju niedostępnego uroczyska wśród srebrzystych od rosy brzózek.

Dziwnym trafem, mimo najbardziej starannych obserwacji, mimo kilkunastu kozłów puszczonych bez strzału, jeden jeszcze tylko dorównuje klasą pierwszej dwójce.

Niestety, tego wymarzonego wśród nich nie ma. Widywałem go majaczącego w porannym oparze, czasem na ułamek sekundy błyskał w skoku ponad niskim zagajem, ale nigdy nie było mi danym umiejscowić muszki na komorze.

Zapewne zmiotła go zawierucha wojenna, bezlitosna w zaciekłej pasji niszczenia wszystkiego co żyje.

Wiele razy wracałem z kniei bez zdobyczy, nie raz wyrzekając na los, ale nigdy rozczarowany. Samo bogactwo drzewostanów wystarczało, by oszołomić zmysły. Obok karłowatej sosny na piaskach i rachitycznych brzózek, pokrywających otchłanne moczary, te same gatunki dorastające niewidywanych rozmiarów, a obok majestatyczne dęby, wzdęte opilstwem kadłuby olch, świerkowe gąszcze i graby splecione w uścisku.



Fragment puszczy *fot. J. Szczepkowski*

Urok łąk czy samosiewów wybujałych na wyschniętych trzęsawiskach czy zrębach, o każdej porze dnia przesłoniętych subtelną mgiełką, obrzeżonych granatowymi smugami obejmującej je puszczy, przesyca całe jestestwo jakąś idealnie pojętą tęsknotą, odrywa myśl od kieratu codzienności, by unieść ją w sferę niematerialną, tam, gdzie króluje nad światem dobro i piękno.

W jednej z takich chwil, gdy na zalanej słońcem polanie podjechaliśmy tuż blisko parę stalowo-srebrnych żurawi, a żałosny ich pokrzyk rozdzwonił się wśród drzew, milczący zazwyczaj stary Goruń począł swą opowieść. Mówił niewyszukanie, walcząc z ruskimi naleciałościami, jak to kiedyś wiosną, gdy lis porwał jednego z pary żurawi, pozostały przy życiu ptak przez trzy dni i trzy noce skarżył się tym samym przenikliwie zawodzącym głosem. Urwał nagle i nigdy go więcej nie słyszano, może więc podzielił los towarzysza, a może poleciał szukać w innych stronach utraconego szczęścia.

Dziwnie mi ta opowieść zapadła w serce. Nie wiem, czy urzekł mnie czar chwili, czy osoba narratora, albo romantyzm wątku... A może sprawił to dolatujący z oddali klangor, choć ptaki dawno już skryły drzewa i przestrzeń. Nie wiem...

Wieczory spędzałem zazwyczaj na jeziorze. Niegdyś szeroko zapewne rozlewało ono swe wody pośród nietkniętego toporem boru, obecnie był to staw raczej o błotnistych, nie do przebycia brzegach. Nieubłagana inwazja roślinności wróżyła i tej ocalałej cząstce rychłą zagładę. Wodorosty panoszyły się wszędzie. Sporadyczne na głębi, bliżej brzegów coraz bardziej dotykały powierzchni, by raz ponad nią wychynąwszy stać się na skraju oparciem dla z każdym rokiem szerszego pasa trzcin.

Z tym wszystkim jednak kaczkom działo się tu dobrze.

Z wyżłem Bimem na dziobie, a synem miejscowego rybaka za plecami, wałęsaliśmy się w zdradliwej duszehubce po rozleniwionej lipcowym skwarem tafli. Ciężko, z chlupotem, rwały się z gąszcza rozespane popołudniową drzemką krzyżówki, by załamane w locie rozgłośnie plusnąć o wodę, podnosząc fontanny rubinowych kropel. Polotnie śmigały nad oczeretem cyranki, w chyżości szukając ocalenia przed śmiercionośnym śrutem. A las podchwytywał grzmot wystrzału i niósł na skrzydłach echa w dalekie mateczniki, niby grozę budzącą przestrogę przed człowiekiem.

Ilościowo łupy tych wycieczek nie były imponujące. Pięć, czasem sześć sztuk ptactwa, to przeciętny rezultat półtoragodzinnej przejażdżki. Nie dążyłem zresztą do pomnożenia rozkładu. Wobec małej rozmaitości gatunków zabijanie ponad własne potrzeby uważałem za nielicujące z moim poczuciem myśliwskim. Czyż i bez tego nie było dość pięknie na świecie?... Pod delikatną pieszczotą słońca pierzchały z czoła troski, monotonne rozhowory trzcin koiły fermenty, a fale jeziorka niby wodą zapomnienia obmywały duszę z czadu cywilizacji.

Dni przemijały w tygodnie niepostrzeżenie, w atmosferze narastającego zbliżenia z puszczą. Była naszym ukochaniem, naszą żywicielką, niewyczerpaną skarbnicą wrażeń, początkiem i kresem wszelkich poczynań. Gdzieś nazewnątrz istniał pożerany waśniami świat, szedł groźny pomruk wzbierającej nawałnicy, tu rzeczywistość stanowiła knieja, kusząco zaglądająca w okna leśniczówki, a pogłos burzy ginął wtopiony w bezkres sennych jezior, wessany w nigdy nie syty mech. Rzeczywistością były dziki, pustoszące deputatowe pola leśniczego czy gajowych i rozgrywka pomiędzy wyrozumowaną przemyślnością człowieka, a instynktowną chytrością zwierza.

Ta gra pochłonęła mnie. Dziki, jak zwykle w okresie, gdy owies dojrzewa a bulwa ziemniaczana jest dostatecznie jędrna i obfita, podniosły się z niedostępnych barłogów i wzgardziwszy dotychczasową karmą zasmakowały w produktach cywilizacji. Nie pomogły palone na skraju poletek ognie, ani płoty z chrustu czy

nawet z belek. Każdy ranek przynosił nowe spustoszenia, groźniejsze może na oko niż faktycznie, niemniej jednak budzące święte oburzenie u prawych posiadaczy.

W tych warunkach projekt obławy na dziki przeszedł szybko wszystkie stadia dzielące go od realizacji. Utkwiła mi ona w pamięci z dwu względów: jeden — to pierwszy występ w charakterze myśliwego mojej żony, celem zasilenia słabej liczebnie linii strzelców, drugi — to absolutny brak zwierzyny. Mimo opolowania najbardziej obiecujących rewirów widziano wszystkiego w ciągu długich ośmiu godzin dwa lisy i kilka zajęcy. Dzików czy nawet saren, od których normalnie było rojno, ani śladu. Ponieważ teren był mi dobrze znany jako zasobny w zwierzynę, fakt ten ostatecznie utwierdził mnie w przekonaniu o bezcelowości wszelkich obław w lecie, zwłaszcza w kniei pierwotnej, o zwartym podszyciu, stanowiącym naturalny matecznik dla zwierzyny, która go opuszcza niechętnie, a naganka sforsować nie jest w stanie.

Po tym niepowodzeniu spróbowałem nocnych czatów. Była to zabawa w ciuciubabkę, rozgrywana raz po raz na korzyść dzików. Zawdzięczam im parę wspaniałych, księżowych nocy, spędzonych sam na sam z puszczą skąpaną w zimnym blasku, pełną tajemniczych westchnień, szarpiących nerwy trzasków i złudnych cieni kształtowanych na pograniczu snu.

Spotkanie nastąpiło niespodziewanie. Wracałem o zmierzchu pogodnego, sierpniowego dnia z podchodu kozła. Droga, na szerokość jednokonnego wózka, wiła się pod nisko nawisłymi gałęziami olch, splecionymi tak gęsto, że rzadko można było ułowić skrawek nieba, na którym gasły ostatnie blaski zachodu. Mrok tu panował zupełny, czasem tylko zalśniła w koleinie nigdy nie wysychająca woda. Hen, w przodzie majaczyła jasną plamą polana.

Szliśmy, nie zachowując specjalnych ostrożności, na tyle jednak cicho, ile tego wymaga poruszanie się w kniei. Od wylotu alei dzieliło nas niespełna sto kroków, gdy jakiś ledwie uchwytny ruch na coraz to lepiej widocznej polanie kazał mi przypaść pod osłonę gałęzi. Lorneta odrazu rozproszyła wątpliwości.

„Dziki”... tchnąłem w ucho gajowego, ruchem ręki osadzając go na miejscu, sam zaś podsunąłem się o kilkanaście kroków. Broń już tkwiła w dłoniach, jeszcze przyspiesznik, próbne złożenie, przy którym z trudem odnajduję muszkę i z kolbą u twarzy wpijam się wzrokiem w pomrokę. Nie mija kilkadziesiąt sekund, a przez pole widzenia, ograniczone z obu stron zwartymi ścianami dróżki, na której stoję, przesuwa się wolno wielka, czarna masa. Szybka poprawka i strzał. Ale strzał nie następuje — zamiast niego słyszę suchy trzask zwolnionego przyspiesznika. Rzut oka na sztucer — zabezpieczony. Z trudem tłumię soczyste przekleństwo, porając się jednocześnie z bezpiecznikiem i naciągając przyspiesznik. Tymczasem inny dzik wysunął się z gąszcza i przystanął wietrząc. Na czarnym tle zwierza gubię ledwie dostrzegalną muszkę...

Gdy przebrzmiał huk strzału słyszę kwik ranionej sztuki i podniecone rechtanie watahy, która zaszyta w krzakach ani myśli zabierać się do odwrotu. Strzelam raz jeszcze i w akompaniamencie nieustannego rechotu dochodzę na kilkanaście kroków, skąd posyłam ruszającemu się jeszcze dzikowi ostatnią kulę. Wtedy dopiero reszta towarzystwa zdecydowała się wycofać. Parę gniewnych fuknięć, krótki tętent i nic już nie mąci ciszy usypiającego lasu.

Ubity dzik okazał się sadlistym wycinkiem wagi 74 kg; pierwsza kula strzaskała mu kręgosłup, druga przebiła bieg, ostatnia — kręgi karku i arterie.



„W oczekiwaniu...“ *fot. J. Szczepkowski*

Był to najsilniejszy akord myśliwskiej pieśni i ostatni dar złożony mi przez puszczę.

Jeszcze parę dni beztroskiej włóczęgi, aż zapomniana i odrzucona cywilizacja nie zacznie się natarczywie dopominać o swoje prawa. Jeden i drugi telegram, słowa nabrzmiałe niepokojem i troską, jakiś ledwie uchwytny fluid gorączkowego pośpiechu w powietrzu — przyśpieszają decyzję powrotu.

Ten sam wózek, którym tylekroć przemierzałem najodleglejsze zakątki kniei, powraca nas teraz światu. W powietrzu rzeźkim i wonnym po niedawnej nawałnicy snują się pierwsze nici babiego lata, na złotych rżyskach lśnią ciemne smugi zwiastujących jesień podorywek. Mijani ludzie z absolutną obojętnością dążą do swych codziennych, określonych porą roku, zajęć.

Ani im, ani mnie nie przychodzi do głowy myśl, że w tej chwili na zegarze dziejowym wskazówki pokazują za pięć minut dwunastą.

Józef Jastrzębiec-Szczepkowski.

Sierpień 1939 r.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

ODŻYWIANIE ZWIERZYNY PŁOWEJ

(Ciąg dalszy)

Przytaczamy tutaj szereg roślin, którymi należy obsiewać poletka przeznaczone dla dokarmiania jeleni.

Lucerna. W artykule pt. „Ważniejsze rośliny motylkowe" podaje inż. Korohoda, że na jednym hektarze lucerny można przetrzymać w ciągu lata bez uszczerbku dla lucernika 40—50 szt. trzody chlewnej, przy czym lucerna niezużytkowana przez trzodę musi być bezwarunkowo skoszona. Dalej pisze tenże autor: „Lucerna jest paszą nader korzystną również i dla owiec, gdyż własności jej pokarmowe wpływają dodatnio na rozwój i zdrowotność jagniąt oraz matek karmiących. Lucerną najbardziej dotychczas rozpowszechnioną w Polsce była odmiana francuska. Obecnie mogą być polecane na gleby typowo lucerniane następujące odmiany tej rośliny: węgierska, turyngska, staro-frankońska oraz na gleby lżejsze — Grimm i Kossak. Jeśli podkreślamy wartość lucerny, to dla tego, że wykazuje ona maksymalny wydatek białka (7,1q na ha)".

Z innych roślin zasługujących na uwagę jako pasza dla jeleni, oprócz peluszki i inkarnatki, znanych w gospodarstwach rolnych, winny być uwzględniane następujące:

Wyka piaszczysta (ozima), udaje się na najsuchszym piasku, lubi glebę wapienną, daje paszę, którą można porównać z koniczyną. Wysiewa się w połowie sierpnia z żytem lub w mieszankach. Na 1 ha pastewnika wysiewa się 60 kg wyki, 42 kg inkarnatki oraz 21 kg rajgrasu; daje to na wiosnę najwcześniejszą paszę, zasobną w surową proteinę oraz fosfór i dla tego wyka ta jest specjalnie nadatna dla byków, potrzebujących w tym okresie dużo tego rodzaju pożywienia.

Łubin żółty wymaga przed posianiem pewnego oczyszczenia i spulchnienia gleby. Wysiewa się go około 100 kg na ha. Orać pod łubin trzeba glebę około 100 kg na ha. Orać pod łubin trzeba glebę jesienią, aby skiby dobrze przemarzły i następnie skruszały. Na wiosnę przed siewem glebę należy zbronować i uwałować. Łubin ten można siać nie na specjalnych poletkach, lecz pomiędzy pasami sosen, przy czym te ostatnie doskonale się zazwyczaj rozrastają. Łubin należy zbierać w lecie, składając go podobnie jak w polu, w kupki. Łubin dzięki spulchnieniu gleby i niszczeniu chwastów sprzyja wyrastaniu słodkich traw.

Lupinus polyphyllus (Łubin powtarzający) — według Roesfelda udaje się na piaszczystych i gliniastych gruntach, lecz przez sosnę jest zagłuszany. Łubin tego gatunku wyrasta do 1 metra wysokości i ma kwiaty niebieskie, lila i białe, wysiewa go się 50 kg na ha. Gdy grona dojrzeją, ścina się je w pierwszym roku i składa na paszę. W następnym roku roślina ta wypuszcza z korzenia nowe pędy, które w czerwcu dają doskonałe siano łubinowe o bardzo znacznej zawartości proteiny. Po skoszeniu łubin ten powtarza, czyli wypuszcza nowe pędy, które chętnie bierze zwierzyna aż do zimy. W okresie wyrastania należy łubin powtarzający ogradzać przed jeleniami i zającami. Na zimową paszę gatunek ten mniej się nadaje, jak na letnią, nie znosi bowiem przymrozków. Daje smaczny pokos w stanie zielonym. Udaje się na tych samych ziemiach co i łubin zwykły.

Leśne żyto należy do popularnych roślin leśnych. Roślinę tę bierze chętnie płowy zwierz pośród zagajników, a przez to ochrania się młode sadzonki od obgryzania. Leśne żyto, jak twierdzi Kissling, wpływa na polepszenie gleby leśnej i chroni młode kultury przed suszą.

Topinambur (Heliantus) — pochodzi z Brazylii, roślina kłączowa, wypuszcza łodygi do 3 mtr. wysokie, lubi wilgoć i słońce. Na ogół dosyć łatwo się udaje. Wysadza się podobnie jak kartofle. Kłącze tej wydajnej rośliny nie marzną w zimie i tworzą wraz z liśćmi dobrą paszę. Aczkolwiek jelenie znaczną część kłączy wykopią racicami i zeżrą, to jednak pozostałe resztki zazwyczaj wystarczają dla odrodzenia tej rośliny na wiosnę.

Heliantus salcifis — pochodzi z Półn. Ameryki. Odznacza się jako roślina pastewna nadzwyczajną wydajnością i pożywnością. Łodygi jej wraz z liśćmi odnośnie zawartości białka równają się z koniczyną czerwoną. Roślina ta, jak poprzednia, dorasta do 3 mtr. Nie jest wybredna tak pod względem zacienienia jak i jakości gleby. Udaje się również na słońcu, specjalnej uprawy nie wymaga, ale w dobrych warunkach daje nadzwyczajne rezultaty. W sierpniu można ją zrzynać na wysokość około ½ mtr. od ziemi, przy czym z pozostałych łodyg wyrastają nowe pędy, które po 6—8 tygodniach można znów ścinać. Ścięte łodygi suszy się i przechowuje pod dachem. Bulwy częściowo się wyoruje z ziemi i wybiera zawiązki, jednak w ziemi pozostaje część bulw, z których wyrasta w następnym roku nowe pokolenie.

Kapusta pastewna — jest to wielce wydajna, nie tworząca główek, roślina, o znacznej ilości białka. 1—1½ kg nasienia dostarcza rozsady na obsadzenie jednego hektara. Roślina ta tworzy grube mięsiste liście. Również jak liście tak i pień jest spożywany przez jelenie. Waga poszczególnej rośliny dochodzi do 10 kg. Urodzaj z hektara do 1000 q zielonki, w czym 700—900 kg białka. Dochodzi do ¾ mtr. wysokości. Wysiewa się w marcu na inspekt lub w kwietniu na grządkę, rozsadę w połowie maja rozsadza się co 60—80 cm odległości.

Żarnowiec — ten zimą i wczesną wiosną zawsze zielony krzak, może mieć poważne znaczenie dla ściągania i utrzymania płowego zwierza w ostoi. Rośnie tak jak sosna na lekkich, przewiewnych gruntach. Ziarno jego należy do najtrudniej kiełkujących, czasem wypuszcza kiełki po kilku latach. Dobrze zatem jakiś czas moczyć ziarno przed siewem. Wskazane jest wysiewanie go najpierw w ogrodzeniu, a dopiero w następnych latach wysadzanie, gdyż płowy zwierz bardzo chętnie bierze się do ogryzania młodych pędów. Żarnowiec naogół nie lubi ocienienia, należy go zatem wysadzać ponad drogami, wzdłuż leśnych linii, na gołoborzach. Żarnowiec po 5—6 latach nie nadaje się jako pasza i dla tego zaleca się go po tym czasie ścinać nad korzeniami, po czym wyrastają nowe pędy, które zwierzyna chętnie bierze. Żarnowiec

zasiany w warunkach sprzyjających wysiewa się sam w dalszym ciągu, gdyż ziarno, trafiając do ziemi, daje nowe pędy. Żarnowiec nadaje się do obsiewu piasczystych zboczy ponad drogami.

Jarmuż pastewny — zielony, wysoki, bardzo wytrzymały na mrozy, dzięki swej zieloności i soczystości znęca zwierzynę i utrzymuje ją w ostojach. Do specjalnych przysmaków, poszukiwanych przez jelenie, należą anyż, kasztany i jemioła.

Anyż — który według E. Wagnera pobudza wydzielanie soku żołądkowego, służy jako lekarstwo przy chorobach przewodu pokarmowego i leczy przy bólach kurczowych kolkę kiszkową. Wymaga on wczesnego wysiewu (do połowy kwietnia) w ciepłą, żyzną glebę, zawierającą wapno. Sieje się go rzędami w odległości 25 cm. Obsiewa się na 1 mórg osiem do dziesięciu kg nasienia. W sierpniu, jeśli chodzi o uzyskanie nasienia, zżyna się łodygi, wysusza i wymłóca. Ziemię pod anyż należy dobrze na jesieni zaorać i dać pod taką ziemię superfosfat. Można dodawać anyż przy siewie innych roślin, wymaga jednak słońca. Używa się go jako przynętę dla lizawek, przy mieszaniu soli z gliną lub węglem.



Chory obok kapitalnego *fot. S. Cenkier*

Kasztany — wskazane jest sadzić wzdłuż dróg bitych, przechodzących przez ostoje jeleni. Według A. Jutrowskiego („Myśliwy", nr. 12), kasztanów nie należy przechowywać w piwnicy, gdzie pleśnieją, ani też na przewiewnym strychu, gdzie zbytnio przesychają, lecz układać na powietrzu warstwą do 15 cm i okrywać igliwiem lub liśćmi do 20 cm. Aby uchronić je od myszy, okopuje się przestrzeń rowem szerokim na 30 cm o prostopadłych ścianach. Przechowywane w ten sposób kasztany rozłupywać na dwa-trzy kawałki i obsypywać mąką makuchu sezamowego, aby się nią dobrze oblepiły.

Bardzo poszukiwaną przez jelenie zimą jest jemioła i bluszcz leśny. Zimą jemiołę powinno się zrywać hakami, a gdzie rośnie bluszcz leśny, odkopywać spod śniegu, robiąc dłuższe rowki w śniegu.

Według dr. Ossowskiego należy uprawiać poletka dla zwierzyny w ten sposób, aby one w całej pełni odgrywały swoją rolę, tj. dawały pokarm zwierzynie przez cały rok, nie wyłączając zimy. W tym celu należy poletko podzielić na dwie ogrodzone części i uprawiać w ten sposób, aby jedne rośliny na pierwszej działce dawały wiosenną i letnią paszę, a na drugiej znów jesienną i zimową. W następnym roku należy wysiew na działkach zmieniać, posiłkując się peluszką z domieszką owsa, żytem świętojańskim z domieszką wyki, oziminą i kartoflami.

Poletka uprawiane w wyżej wymieniony sposób dają zwierzynie o każdej porze naturalny karm i tak: z jednej działki wiosną oraz latem — peluszkę wraz z owsem, jesienią i wczesną zimą — kartofle z działki drugiej, zimą — żyto świętojańskie wraz z wyką z działki pierwszej. W roku następnym zwierzyna będzie miała taki sam pokarm z poletek w innej kolejności. Wskazanym jest, by wysiać dookoła poletek z jednej strony żarnowiec, z drugiej łubin, zwiększając oraz urozmaicając w ten sposób zwierzynie w zimie zielony pokarm.

Miast wymienionego wyżej podziału uprawy można poletko uprawiać również w/g Dr. Osowskiego następująco:

Działka I. W kwietniu siać owies z domieszką saradeli. W lipcu zdjąć ogrodzenie. Z końcem sierpnia zamknąć poletko i po podrośnięciu saradeli otworzyć poletko zwierzynie na nowo.

Działka II. W maju sadzić jarmuż i buraki pastewne, które zimą zostawia się dla zwierzyny. Glebę pod takie poletko należy przekopać i dodać sztuczny nawóz w postaci 100—150 kg tomasyny oraz 100 kg kainitu na 1 ha, poczem wysiać około 100 kg łubinu żółtego oraz 100 kg łubinu niebieskiego. Łubin ten może pozostać na poletku bez odnowienia przez 2 lata, z uwagi na to, że jesienią się sam rozsiewa. Po 2-ch latach w jesieni należy łubin podorać i zasiać żyto, mniej więcej 150 kg na 1 ha. Do żyta tego należy w kwietniu następnego roku wsiać około 40—50 kg saradeli.

Inny, zalecenia godny sposób obsiania poletka — według Dr. Ossowskiego — jest następujący: w kwietniu zasiać łubin z przymieszką saradeli. W końcu sierpnia zaorać i zasiać żyto tak, aby przed mrozami silnie się zakorzeniło i wyrosło. Na wiosnę, gdy żyto wykłosi się, około 15 maja przeorać i zasiać łubin niebieski z przymieszką saradeli, około 100 kg łubinu i 20 kg saradeli na 1 ha, i tak zostawić je niezaorane jako karmę na zimę. Na wiosnę znów zaorać i zasiać owies lub grykę. Znaczne usługi oddaje gryka, która nie tylko ma wartość jako pasza, ale również chroni glebę przed zachwaszczeniem.

Przy wyrąbywaniu lasów nie należy niszczyć krzaków leśnych, a pozostawiać je, gdyż gałązki jarzębiny, ćmieliny i in. służą jako pasza płowej zwierzynie.

Również suszone listowie krzewów leśnych, jak: jeżyny, maliny, borówki — stanowi dla jelenia cenną, a dostępną i tanią paszę. Poza tym należy dawać kartofle, buraki pastewne, groch, fasolę, owies, łubin i brukiew.

Leśne łąki odgrywają poważną rolę w odżywianiu płowej zwierzyny, o ile oczywiście są odpowiednio zmeliorowane i doprawione nawozami sztucznymi. Jeśli byki mogą korzystać z łąk, które doprowadzone zostały do pewnej kultury, to wieńce będą okazalsze, natomiast siano z łąk kwaśnych mało daje zwierzynie pożytku. Ciekawe są dane, dotyczące stosunku wyżywienia jeleni, jakie miały miejsce w znanym łowisku wielkopolskim Klucz-Goraju, przed i po zmeliorowaniu łąk. Gdy w r. 1907 najlepszy wieniec liczył 175 p. Nadlera, to po zmeliorowaniu łąk w r. 1908 wieńce byków zaczęły się stale poprawiać. W r. 1916 ubity został 16-tak o 216 p. Nadlera i 12,5 kg wagi

wieńca. W r. 1927 zdobyty został w tym łowisku wieniec o wadze 11,7 kg i 204,7 p. Nadlera, w r. 1931 dwudziestak o 190 p. Nadlera, w r. 1932 — szesnastak o 186 p. Nadlera i 9,3 kg wagi, w r. 1933 dwudziestak 191 p. Nadlera i 9 kg wagi. Wszystkie te byki były w wieku 9—11 lat. Jakże mizernymi są wyniki w sąsiadujących z Klucz-Gorajem lasach, gdzie zdobycie wieńca o 160 p. Nadlera jest bardzo rzadkie.

W zimie podkarmiano w tym łowisku jelenie wyłącznie sianem, gdy zaś przychodziła wyjątkowo ostra zima, rozrzucano również kasztany. Najważniejszą jednak rzeczą, która wpływała na doskonały rozwój wieńca, była obecność dobrze zmeliorowanych łąk, posiadających zdecydowany wpływ na kształtowanie się poroża. Z czego wynika, że zmeliorowanie łąk, leżących pośród iglastych, słabo podszytych lasów, może poniekąd zastąpić naturalną paszę, jaką dla jeleni są odrosty drzew i krzaków. Na 10,000 ha przestrzeni ogrodzonej w Klucz-Goraju, przy stosunku płci jak 1:1, odstrzał roczny w tym łowisku wynosił trzydzieści pięć do czterdziestu byków i pięćdziesiąt do sześćdziesięciu łań.

Co jest powodem, że zmeliorowanie łąk wpływa na poprawienie wieńców u byków? Odpowiedź na to pytanie możemy znaleźć w badaniach Sarneńskiej Stacji Doświadczalnej, która prowadziła szczegółowe doświadczenia nad wynikiem melioracji oraz nawożenia łąk. Polepszenie jakości traw uzyskuje się przede wszystkim przez uregulowanie stosunków wilgotnościowych w glebie, dzięki czemu zamiast chwastów, kwaśnych traw i mchów, pojawiają się rośliny szlachetniejsze, najpierw na miejscach suchszych, a następnie rozprzestrzeniają się one dalej. Te szlachetniejsze trawy dają siano o większej wartości odżywczej, a zwłaszcza wzrasta w sianie ilość strawnego białka, a co idzie za tym i ilość fosforu. Do tego rodzaju traw należą: tymotka, kostrzewa czerwona, tomka wonna, koniczyna biała, groszek łąkowy, mietlica biała, grzebienica, wiechlina błotna i inne.

Przytoczymy niektóre dane Sarneńskiej Stacji Doświadczalnej, dotyczące składu siana, otrzymanego z łąk zmeliorowanych i z łąki dzikiej, czyli pierwotnej:

	Woda	Ciała azotowe	Tłuszcz surowy	Włókno surowe	Białko strawne	Bezw. kwasu fosfor.	Tlenek potasu	Popiół
Siano z trwałej łąki	10,37	13,57	3,6	27,29	3,95	0,61	0,98	5,69
Potraw z tejże łąki	9,98	14,77	4,2	24,64	5,87	0.62	1,10	6,12
Mieszanka koniczyn	9,80	13,62	5,1	26,40	6,50	0,55	0,5	6,7
Siano z dzikiej łąki	9,66	12,40	2,8	32,10	2,98	0,35	0,20	6,2

W tej tablicy znajdujemy odpowiedź na postawione pytanie, dotyczące wpływu melioracji łąk na wartość wieńca. W kulturalnych łąkach siano, oprócz większego zbioru, daje prawie dwa razy więcej niezbędnego dla polepszenia wieńca fosforu. W każdym więc lesie, gdzie bytuje zwierzyna płowa, i gdzie są, albo też do tego lasu przylegają, większe lub mniejsze obszary torfowisk, można niezbyt wielkim wysiłkiem doprowadzić je do stanu użyteczności. Ilość tych torfowisk wynosiła na ziemiach polskich przed wojną 2,700,000 ha i zmeliorowanie ich dać może wielkie możliwości gospodarcze dla całego państwa, jak również polepszyć byt naszej płowej zwierzyny, która z braku odpowiedniej paszy robi szkody w polach.

Profesor Inżynier S. T. Turczynowicz*) podaje, „że najlepsze wyniki odnośnie osuszania łąk torfiastych otrzymano w Danii, przy rowach osuszających o 50 cm głębokości, mianowicie 45,8 ha/kg, przy 95 cm — 36,6 i przy 125 cm — 31,8 ha/kg. Na torfowisku wysokim w Doświadczalnej Stacji Bremeńskiej najlepsze wyniki otrzymano przy głębokości rowów 50—75 cm."

Na podstawie zestawienia ze Stacji Sarneńskiej wyprowadzone zostały następujące wnioski odnośnie gatunków traw i zbóż. 1) Najwyższe plony dały: a) komonica błotna, b) mieszanka Borowskiego, c) koniczyna czerwona, d) tymotka, e) wiechlina łąkowa i f) owies — przy stanie zwierciadła wody gruntowej 67,9 cm na polach osuszonych rowami głębokimi na 1 metr i najwyższej rozstawie 65 metrów. 2) Żyto, peluszka i ziemniaki wymagają niższego zwierciadła wody gruntowej. Żyto i peluszka wolą węższe rozstawy, gdyż 35—55 mtr. na polach osuszonych rowami głębokości 1 mtr. 3) Kostrzewa trzcinowata i kostrzewa łąkowa wolą większą wilgoć, gdyż najwyższe plony uzyskano na polach osuszonych rowami głębokości 0,8 metra o rozstawach 55 mtr. i średnim zwierciadle wody gruntowej 61,4 cm od powierzchni.

Bardzo ważne jest nawożenie łąk sztucznymi nawozami. Nawożenie azotniakiem na zasadzie doświadczeń w Dublanach dało następującą nadwyżkę siana:

N a w ó z	r. 1931 po nawożeniu		r. 1930 przed nawożeniem	
	I pokos	II pokos	I pokos	II pokos
100 kg azotniaku + 800 kg kainitu	410	220	350	50
100 kg azotniaku + 1100 kg kainitu	420	420	450	10

Na nawożenie nawozami fosforowymi niskie torfy reagują rozmaicie, niektóre nie reagują zupełnie, a nawet ujemnie. Tak np. niskie torfy podłęczyckie w Stacji Topola-Błonie przy dawce tylko samego fosforu (80 kg na ha) wykazywały obniżenie zbioru owsa z 7,3 q na 4,4 q, to jest o 40%, natomiast razem z potasem kwas fosforowy podnosi plony; np. zebrano ziemniaków bez nawozów 65,1 q z jednego hektara, z K_2o—115,3, z tą samą ilością potasu i 50 kg P_2o_5—133,8, a z tą samą ilością K_2o i 80 kg P_2o_5—
—133,8, a z tą samą ilością K_2o i 80 kg P_2o_5—136,8. Natomiast torfy wysokie wszystkie potrzebują nawożenia fosforowego. Najskuteczniejszymi nawozami na torfowiskach są nawozy potasowe.

*) „Meliorowanie i zagospodarowanie torfowisk", str. 62.

Z innych środków, mających na celu podniesienie wydajności torfowisk, zaleca prof. Turczynowicz odpowiednią uprawę, spalanie powierzchni torfowisk, co na zasadzie doświadczeń wpływa przez pewien czas dodatnio na własność gruntów torfowych, popiół bowiem łagodzi kwasowość, dzięki czemu zwiększa się w glebie żywotność bakterii. Dobre też wyniki daje nawiezienie niskiego torfowiska piaskiem lub mineralną glebą, bo ochrania przeciwko przymrozkom, intensywniejszym zazwyczaj na torfowiskach aniżeli na zwykłej uprawnej roli. Dobre też wyniki daje przedplon w postaci okopowych, wpływa bowiem na niszczenie chwastów. Ogólnie biorąc, niezmeliorowane łąki, leżące na torfowiskach lub glebach przytorfowych, dają 10—20 q z ha siana bardzo lichego, nadającego się właściwie raczej na ściółkę niż na paszę, gdy tymczasem zmeliorowane łąki mogą dawać 60—100 q siana pierwszorzędnej jakości.

„Przy zakładaniu łąk i pastwisk" zaznacza prof. Czesław Skotnicki — „głównym warunkiem stworzenia właściwego pokrycia roślinnego jest dobranie odpowiednich traw, które mają być zasiane. Należy przy tym zwrócić uwagę na czystość mieszanki, bowiem na glebach tych chwasty rozwijają się szczególnie obficie. Przy rozsiewie zwrócić uwagę należy na równomierny rozsiew, a to ze względu na różny ciężar poszczególnych ziarn. Świeżo rozsiane ziarno lepiej nie bronować, lecz lekkim wałkiem przytłoczyć. Posiew traw uskutecznia się zazwyczaj w roślinę ochronną. Bezpieczniej jest w pierwszych latach po uprawie przejście okopowymi lub specjalnymi mieszankami dla wyplenienia chwastów. Łąki i pastwiska w następnych latach winny być regularnie co wiosnę i jesień utłaczane ciężkimi gładkimi walcami. Łąki winny być w odpowiednich odstępach czasu wypasane, zaś pastwiska pozostawiane dla wykaszania". Odpornymi na nasze warunki klimatyczne okazały się w Stacji Sarneńskiej następujące gatunki traw: wiechlina błotna, bekmania, mozga trzcinowata; dość odpornymi: kostrzewa czerwona, wiechlina łąkowa, wyczyniec łąkowy, mietlica rozłogowa. Z motylkowych: koniczyna biała i szwedzka.

„Wytrzymałość roślin łąkowych na przymrozki, na ciężkie zimy — pisze prof. Turczynowicz — i na różne nieprzychylne okoliczności jest bardzo różna. Szczególnie niebezpieczne są nawroty zimy podczas roztopów, gdy woda nie schodzi dłuższy czas z łąki i kilkakrotnie zamarza i odmarza w zaklęśnięciach i nierównościach terenu. W takich warunkach giną wszystkie trawy".



Przy pasniku *fot. J. Podgórny*

Zatrzymaliśmy się obszerniej nad sprawą uprawy torfiastych łąk, gdyż one w większych naszych lasach stanowią przeważający odsetek nieużytków i mogą być wykorzystane dla zwierzyny płowej.

(c. d. n.)

Tadeusz Śliwiński.

Inż. KAROLEWSKI ALFONS.

SZKODY WYRZĄDZONE NA SKUTEK SPAŁOWANIA

(Referat wygłoszony w oficerskim obozie jenieckim Murnau).

Szkody, jakie wyrządza zwierzyna w lesie, są nieraz bardzo poważne. Gospodarczo najgroźniejszą i najczęściej w lasach spotykaną jest spałowanie, czyli obdzieranie, względnie ogryzanie kory w zagajnikach, drągowinach czy nawet w starszych drzewostanach przez jelenie. Spałowane są następujące gatunki drzew: świerk, dąb, jesion, buk, jarzębina, jodła, wejmutka, daglezja, sosna i stosunkowo rzadko brzoza, olsza, modrzew.

Szczególnie świerk z wszystkich drzew iglastych najbardziej cierpi z tego powodu, a to dlatego, że kora jego jest bardzo cienka i stosunkowo najłatwiej daje się obdzierać. Jak badania wykazują spałowanie świerka rozpoczyna się bardzo wcześnie, już wtedy, gdy pień jeszcze gęsto porośnięty jest igłami, a jego gałęzie sięgają prawie jeszcze ziemi. Stopień uszkodzenia zasadniczo mniej zależy od wieku drzewa, a raczej od stanu kory. Gładka kora, zwłaszcza kiedy drzewo jest w pełni soków, obdzierana jest najchętniej i najłatwiej. Egzemplarze o korowinie zgrubiałej nie są już atakowane. Z tego wynika, że w młodych drzewostanach właśnie najsilniejsze sztuki, a w starszych drzewostanach najczęściej najsłabsze egzemplarze bywają uszkadzane. W ogólności można przyjąć, że przy świerku największe spałowanie zaczyna się w okresie pierwszych jego trzebieży, a więc w wieku 20—40 lat.

Rozróżniamy dwa rodzaje spałowania:

1) t. zw. zimowe spałowanie — czyli ogryzanie kory najczęściej małymi kawałeczkami, przy czym miazga bardzo często pozostaje nieuszkodzona, przez co zranienie staje się mniej szkodliwe;
2) t. zw. spałowanie letnie—czyli spałowanie w okresie pędzenia soków, przy czym kora bywa w kawałkach lub pasach aż do samego drewna obdarta.

Tego rodzaju zranienia są znacznie gorsze i prawie zawsze prowadzą do wcześniejszej lub późniejszej zgnilizny pnia. Przyczyna tych groźnych uszkodzeń leży przede wszystkim w zbyt licznym stanie zwie-

rzyny w danym łowisku. W lesie zagospodarowanym, na skutek jednostronnego zadrzewienia, nie znajduje ona ani pod względem jakościowym, ani ilościowym możliwości wyżywienia się. Dalszą przyczyną spałowania może być brak pewnych chemicznych substancji, jak garbnika, fosforu, wapna, soli, cukru, poza tym poszukiwanie wilgoci przy zbyt suchej paszy lub karmieniu, a wreszcie przyzwyczajenie, pęd naśladowania lub zabijanie nudów itp. Fakt, że w niektórych lasach urozmaiconych, szkody spałowania przy wysokim nawet stanie zwierzyny są dość rzadkie i mieszczą się w umiarkowanych granicach, potwierdza tylko, że właśnie tam należy się najbardziej obawiać spałowania, gdzie równowaga florystyczna lasu przez działanie człowieka została naruszona: a więc w lasach jednogatunkowych i równowiekowych. Gdy w dodatku w takich lasach, gdzie paszy dla jelenia stanowczo nie wystarcza, uniemożliwia mu się wyjście na pole uprawne, by tam się dożywiał, to nic dziwnego, że spałowanie musi wprost przybrać katastrofalne rozmiary. Można powiedzieć, że spałowanie jest jedynie skutkiem nienaturalnych warunków życiowych zwierzyny w dzisiejszym lesie zagospodarowanym.

Jako następstwa tych szkód wymienić należy zmniejszenie przyrostu i pogorszenia jakości drewna, gdyż pieńki, które dookoła zostały obdarte, obumierają, inne mniej uszkodzone zabliźniają rany, jednakże najczęściej zranienia te później czy wcześniej tworzą furtki dla grzybów, powodujących gnicie pnia. W ten sposób dolne 2 lub 3 metry pnia każdego uszkodzonego drzewa, a więc najlepsza użytecznie część pnia, zdatna jest tylko jako opał. Obliczono, iż przy 100% spałowaniu strata wartości 60 letniego drzewostanu świerkowego, wskutek pogorszenia jakości, wynosi na siedlisku klasy I — 18%, na siedlisku II klasy — 20% i na siedlisku III klasy — 22% w stosunku do nieuszkodzonego drzewostanu. Ciekawe są badania przeprowadzane w 65 letnim drzewostanie świerkowym, który podzielono na dwie równe części, z których jedną opłotowaną uchroniono przed szkodami, a drugą wcielono do zwierzyńca z jeleniami, gdzie uległa silnemu spałowaniu. Po 27 latach stwierdzono, że mimo prawie równej ilości pni, masa w części spałowanej była o 25% niższą od masy części zdrowej, do której jelenie nie miały dostępu. Stwierdzono również, że zmniejszenie drewna użytkowego w stosunku do grubizny wyniosło 39%.

Dwa blisko rębne drzewostany świerkowe, które uległy spałowaniu, oraz dwa inne drzewostany opłotowane dały niezmiernie ciekawy materiał porównawczy. W drzewostanach tych pozakładano powierzchnie próbne 60 × 60 m i osiągnięto następujące wyniki:

		Drzewostany spałowane I—	Drzewostany spałowane II.	Drzewostany niespałowane III.
1	Wiek	66	64	66
2	Gatunek drzewa	1.0 św.	1.0 św.	1.0 św.
3	Sposób powstania	siew	siew uzupełniony sadzonkami	siew
4	Liczba pni na 1 ha	1061	1056	1453
5	Średnia wysokość pnia	21,1	20,3	20,5
6	Średnia grubość pnia w m/m	225	218	192
7	Powierzchnia przekr. na ha w m²	42,11	39,25	42,21
8	Masa grubizny na ha	364	328	447
9	Stopień zadrzewienia	0,65	0,60	0,85
10	Wartość spodziewanej grubizny z 1 ha w markach niemieckich	4.018	3.603	5.319
11	Wartość pozyskanej grubizny z 1 ha w markach niemieckich	3.184	2.910	5.190
12	Spodziewana cena za 1 m³ grubizny	11.04	10,98	11,90
13	Uzyskana cena za 1 m³ grubizny	8.75	8,87	11,61
14	Strata wartości na skutek zgnilizny pnia w markach niemieckich na 1 ha	834	693	129
15	Strata wartości na skutek zgnilizny pnia w markach niemieckich na 1 m³	2,29	2,11	0,29
16	Strata wartości w %	20,7	19,2	2,4

Szkody zostały wyrządzone, jak wykazały pierścienie roczne, najobficiej w latach między 20 a 45 rokiem. Uderza nas mniejsza ilość pni w drzewostanach spałowanych, ponieważ tutaj najsilniej uszkodzone pnie wypadły częściowo jako posusz lub na skutek połamania przez śnieg lub burzę. A więc powierzchnie spałowanych drzewostanów są o 1/3 pni uboższe od porównywanej powierzchni niespałowanej, przez co nie mogły być wyzyskane do pełnej produkcji masy drzewnej. Stąd też powierzchnia przekroju spałowanych drzew jest, przeciętnie biorąc, o 10,5% mniejsza od powierzchni przekroju drzew niespałowanych. Jeśli zaś chodzi o wydajność masy to drzewostany uszkodzone przez jelenie wykazują prawie 100 m³, czyli o 22% mniejszą masę od niespałowanego drzewostanu.

Ciekawe jest ponadto prześledzić, w których klasach biologicznych (kl. Krafta) danego drzewostanu powstają uszkodzenia przez spałowanie.

Obraz tego daje poniższe zestawienie:

Klasy biologiczne (Krafta)		Ilość uszkodzeń na 100 pni badanych					Na 100 pniach są uszkodzenia			
		0	1	2	3	4	nie ma żadnych	słabe	średnie	silne
Drzewa górujące		24,3	35,7	24,3	14,3	1,4	24,3	41,4	18,6	15,7
„ panujące		17,3	27,2	31,4	19,3	5,0	17,1	27,9	30,0	25,0
„ współpanujące		16,1	14,5	38,2	18,2	12,7	16,4	25,5	32,6	25,5
„ przygłuszone	żywe	7,3	25,5	36,3	25,5	5,4	7,3	25,5	20,0	47,2
	martwe	5,3	36,8	42,1	10,5	5,3	5,3	21,0	21,0	52,7
„ opanowane	żywe	8,3	33,4	25,0	8,3	25,0	8,3	16,7	25,0	50,0
	martwe	6,3	19,3	28,0	38,7	6,5	6,3	16,1	25,8	51,6
Średnio:		15,2	26,7	31,9	19,9	6,3	15,0	28,0	25,9	30,9

Spośród 100 pni 15 nie wykazuje żadnych widocznych uszkodzeń mimo, że wiele spośród nich dawniej uszkodzonych, zdążyło już swoje rany w międzyczasie dobrze zabliźnić. Panujące drzewa są daleko mniej uszkodzone niż opanowane. Szczególnie wiele pni uszkodzonych wykazuje klasa przygłuszonych, która znacznie częściej i silniej przez jelenie była spałowaną.

Ze względu na duże straty, jakie ponosi las na skutek spałowania, obowiązkiem każdego leśnika jest im jak najsilniej przeciwdziałać. Najpewniejszym środkiem będzie unormowanie ilości zwierzostanu do możliwości wyżywienia przez dane łowisko. Podawanie ścisłych liczb na 100 ha tu nie jest słuszne, gdyż jakość łowiska leśnego pod względem wyżywienia przedstawia dużą różnorodność. Przystosowanie ilości sztuk odpowiednio do siedliska wydaje się najracjonalniejsze i bodaj najodpowiedniejsze.

Drugim sposobem przeciwdziałającym szkodom, jest dostarczenie w lesie jakościowo i ilościowo odpowiedniej paszy. Aby jeleń czuł się dobrze i nie niszczył drągowin, winno mu się w pierwszym rzędzie zabezpieczyć różnorodność zadrzewienia, jakie daje jedynie las mieszany, a jeśli pragnie się ponadto, aby na danym obszarze trwale pozostawał, nie może tam zbraknąć drzew takich jak: dębu, buka, kasztanowca, nawet drzew owocowych. Pożądane są szczególnie drzewa miękkie, jak osika, brzoza, wierzba, ponieważ w porze zimowej jeleń chętnie żywi się ich pączkami i cieńszymi gałązkami, które w tym celu powinno się specjalnie ścinać i na okres zimy zakładać w paśnikach w lesie. Las mieszany ma jeszcze i tę przewagę, że jego runo, daleko obfitsze i bogatsze w rośliny, powstrzymuje jelenia od wypraw na pole i chroni od szkód tak często na nich wyrządzanych. Jeśli w lesie naturalnej paszy jeleniowi nie wystarcza, musi być on stanowczo dokarmiany. Wewnątrz większych obszarów leśnych, zwłaszcza w zwierzyńcach, w których zwierzynie zamyka się wyjście na pola — konieczne są poletka z okopowymi, jak ziemniaki, buraki, oraz różne mieszanki żyta, owsa czy innych zbóż. Jak doświadczenia wykazują, najczęściej spałowuje jeleń po ostrych zimach i to w miesiącu marcu i kwietniu, to też szczególnie w tym czasie zaleca się najintensywniej dokarmiać zwierzynę, a jeśli się przypuszcza, że spałowanie jedynie z braku składników chemicznych ma miejsce, konieczne jest jak najwcześniejsze rozmieszczenie lizawek o odpowiedniej mieszaninie gliny z solą, garbnikiem, wapnem oraz fosforem. Niejednokrotnie przekonano się już, że mimo dostatecznego pożywienia oraz obfitej paszy, jeleń nie zrezygnował ze spałowania, co dowodzi o innych jeszcze pobudkach, które go do tego skłaniają.

Trzecim sposobem uchronienia się od szkód spałowania to opłotowanie. Należy wziąść pod uwagę, iż przez opłotowanie pewnych terenów zmniejsza się obszar naturalnego żerowiska i tym samym kwestja wyżywienia zwierzyny wkracza w stadium jeszcze bardziej krytyczne.

Jeżeli mimo skromnego stanu i mimo wystarczającej ilości pożywienia w lesie, szkód spałowania usunąć nie można, powstaje wówczas jako ostateczny środek ochrona pojedyńczego pnia przed spałowaniem. Niektórzy leśnicy stosowali ten sposób i chronili poszczególne pnie albo przez: 1) owijanie pni chrustem itp., względnie 2) przez smarowanie środkami, które już wonią samą odstraszają jelenia. Te środki wykazują jednak różne niekorzyści, dla dużego zaś gospodarstwa leśnego przede wszystkim za wysokie koszta. Ponadto owijanie takie nie trwa oczywiście długo i po kilku latach (2—4) trzeba je odnawiać. Osłona utrzymuje korę stale w stanie miękkim, kora wskutek zakrycia późno twardnieje, zatem owijanie przedłuża tylko czas ochraniania pnia. Jeśli chodzi o ochronę przez smarowanie, to używano w tym celu kleju przeciwgąsiennicowego, smoły z węgla kamiennego, karbolineum, krwi bydlęcej, nafty i innych jeszcze środków. Doświadczenia z tego rodzaju środkami są niejednolite i próby, jakie przeprowadzono, nie wydały oczekiwanych rezultatów. Część tych środków z powodu nietrwałości, lub małej przyczepności do kory, lub zbyt krótkiego okresu działania, wogóle się nie nadaje. Przeprowadzone próby ze smołą przy starszych pniach, które wytworzyły już korowinę wykazały, że trwałość smarowania wystarcza na 15 lat, w innych wypadkach na 7—10 lat.

Jako ostatni sposób — stosunkowo od niedawna praktykowany — pozostaje jeszcze specjalne ranienie kory, czyli nacinanie drzew. Przez zranienie kory przy pomocy skrobaczki lub specjalnego struga pobudza



Klucz żurawi *fot. W. Puchalski*

się korę do szybszego twardnienia i jakby do sztucznego szybszego tworzenia korowiny. Zbyt głębokiego, niejednokrotnie aż do miazgi sięgającego zranienia, które ma na celu wyciek żywicy, aby przez jej tężenie na powierzchni uzyskać pewnego rodzaju pancerz ochronny, należy, zwłaszcza przy świerku, stanowczo zaniechać, gdyż całkowicie mija się z celem. Broni to coprawda od jeleni, ale naraża na opanowanie przez grzyby. Natomiast ostrożne kaleczenie kory przy pomocy specjalnego struga, bez zranienia miazgi, doskonałe daje wyniki i dostatecznie chroni przed spałowaniem. W użyciu jest strug Danza, który można odpowiednio regulować i który zdziera mniej więcej 15—20 cm długie i 2—3 cm szerokie pasemka kory, jakie wycina się w odstępach 3—4 cm dookoła pnia w wysokości 0,30 metra do 1,80 mtr. Dla ochrony jednego pnia, zależnie od jego grubości, trzeba 20—60 nacięć. Przeciętnie struganie jednego pnia trwa 2 min., a koszta robocizny na 1 ha przy użyciu rąk kobiecych 50—70 robotogodzin na 1 ha; im drzewostany młodsze, tym koszta robocizny stają się wyższe. Dobrze przeprowadzone nacięcia ochraniają drzewostan w zupełności od spałowania na okres 6—8 lat i dziś wydaje się ten sposób bardzo skuteczny. Próby w tym kierunku jeszcze nie są ukończone.

Reasumując to, co wyżej na temat spałowania przytoczyłem, przedstawione zagadnienie pokrótce ująć można w następujących wnioskach:

I. Hodowla jeleni w obecnym stanie, całkowicie bez szkód spałowania, nie da się przeprowadzić.

II. Należy tylko dążyć do zredukowania tych szkód do minimum:

a) drogą właściwego unormowania ilościowego zwierzyny do obszaru i siedliska;

b) przez stworzenie warunków życia zwierzynie, zaspakajających jej wszystkie potrzeby dla normalnego rozwoju;

c) przez zastosowanie w warunkach koniecznych wszystkich zabiegów techniczno-zapobiegawczych w drzewostanie

A. Karolewski.

ZBIGNIEW KOWALSKI.

NA SĄSIEDNIM STANOWISKU

Zakończony sezon łowiecki, jak wszystkie sezony które minęły, nasuwa szereg wspomnień, refleksji i wniosków.

Mnie, naprzykład, ubiegły okres polowań przywodzi na pamięć sąsiada myśliwego, bez którego (czy bez których) nie mogą się przecież odbyć żadne zbiorowe łowy. Sąsiad myśliwy, jak i każdy inny sąsiad, może być dobry albo zły, cichy lub też hałaśliwy, porównania można by zresztą podawać w nieskończoność. Postaram się zatem w dalszych wywodach przedstawić kilka najbardziej charakterystycznych typów towarzyszy łowów, którzy z nami na polowaniu sąsiadują.

Na pierwszy ogień niech idzie sąsiad myśliwy, zwany dzielnym kawalerzystą, albo R ę b a c z e m.

*

Gęsty, niczem szczotka, świerkowy zagajnik. Stoimy na dość szerokiej, prostej jak pod sznur linii leśnej. W gąszczu mamy otropionego grubego odyńca, to też serce bije w piersi głośno i mocno.

Jakże dobrze znane jest wszystkim łowcom rozkoszne, pełne nadziei na przygodę oczekiwanie, kiedy to zwierz jest pewny, naganka sprawna i chętna, wiatr przychylny i kiedy stoi się na tropie wchodowym zwierza, i to na niebylejakim tropie.

Już cicho, jękliwie zagrała trąbka. Teraz czuj duch!

Nagle cała nadzieja pryska, krew odpływa z serca, a lufy drylinga opuszczają się ku dołowi. Nie ma już co liczyć na pewne, zdawało by się, spotkanie, bowiem sąsiad mój z lewej strony, pomimo rozpoczętego już gonu, wyrąbuje sobie nadal bez przerw skośne, wygodne wizierki w głąb lasu. Kordelas z głuchym łoskotem obciosuje świerczki, znaczone białym, świeżym nacięciem zielone gałązki całymi wiązkami lecą na drogę. Echo rąbaniny niesie się w cichym, mroźnym powietrzu szeroko i daleko.

Wreszcie, kiedy naganka zbliża się już ku linii, sąsiad zadowolony i dumny z dokonanej pracy wraca na stanowisko i przysiada na stołeczku. Jednocześnie w zagaju odzywa się rumor, krzyk i hałas.

— Trzymaj, nie puść!

— Dzik! Dzik!

— Ale wielki, cholera...

Gwar milknie, naganka wychodzi na linię.

Dwa strzały na głębokiej flance pieczętują zakończenie niefortunnego dla mnie miotu.

Dzielny Rębacz podchodzi tymczasem i mówi:

— Popatrz pan, jak ten zakazany pech do dzików nie chce mnie ani rusz opuścić.

Nie odpowiadam ani jednym słowem i ostentacyjnie odwracam się do mego rozmówcy plecami.

*

W następnym miocie najbliższe stanowisko zajmuje sąsiad srodze dowcipny, czyli Filut.

Pędzenie jest na drobnego zwierza, zajęcy widać dużo, bażanty rwą się z kwoktaniem raz po raz. Dukt jest wąski, jak korytarz, strzelać trzeba szybko, uważać dobrze.

Kręcę więc głową na prawo i lewo i bacznie wypatruję. Nagle mój sąsiad z lewej strony, składa się przed siebie rzutowo i prowadzi lufami w moim kierunku, wygina się, przysiada, jeszcze celuje, ale nie strzela. Nie spuszczam zatem oczu z zagaju od strony sąsiada, ale las na lewo jest pusty i cichy.

Jednocześnie na prawo przetacza się przez linię szary kłębuszek zająca. Mając napiętą uwagę na przeciwną stronę duktu spóźniam się ze złożeniem i szarak uchodzi bez strzału.

Sąsiad, widząc moje drgnięcie i szybki ruch bronią, wybucha śmiechem. Nagle milknie i znów składa się w miot. Jak i poprzednio pilnuję linii między nim a mną i znów, jak i poprzednio, z przeciwnej strony wyskakuje na przecinkę zając. Łapię go na muszkę niezręcznie i zbyt długo, strzał pada spóźniony. Pudło.

Sąsiad ryczy teraz ze śmiechu pełnym gardłem.

Refleksja, że sąsiad jest prawdopodobnie srodze dowcipnym Filutem, przychodzi zbyt późno, dopiero w chwili, kiedy złożony do kicającego na sztych kota, słyszę okrzyk:

— Pióro!

I kiedy na ten ostry głos sąsiada podrywam broń ku górze, szukając oczami nieobecnego koguta, puszczam trzeciego już, kolejnego zająca.

— Bałwan jesteś — wołam do srodze dowcipnego kolegi.

A on zaśmiewa się w dalszym ciągu, aż łzy stoją mu w oczach.

*

Następnym typem sąsiada będzie sąsiad elokwentny nowicjusz, nazwijmy go Neofitą.

Przede mną niegłęboka dolinka, porośnięta rzadką brzozową drągowiną. Bokami zielenią się ściany gęstych sośniaków.

Świetne to i znane od lat stanowisko — idealny przesmyk lisi.

Myśliwi, idący na dalsze stanowiska, zginęli już w jesiennej mgiełce w dalekiej perspektywie linii.

Jest cisza. Szeleści jedynie biegająca po zeschłych liściach myszka leśna i poćwierkuje sikorka, wisząca główką na dół na bliskiej, łatwej do sięgnięcia ręką gałęzi.

Bez pośpiechu zabieram się do ładowania broni, nagle tuż za mną odzywa się tubalny wesoły głos. To flankujący sąsiad przyszedł sobie pogawędzić.

— Czego się pan w tym miocie spodziewa? — pyta.

— Lisa — odpowiadam krótko.

— Lisa? Tak, tak nizinka, brzeźniak. Ale ruszony lis pójdzie zagajnikiem.

— Może pójść i zagajnikiem.

— Napewno i to po prawej ręce.

Mówiąc to towarzysz łowów kręci trzymaną pod pachą poziomo do ziemi strzelbą w ten sposób, że raz po raz stuka mnie końcem luf w żołądek. Usuwam się, ale to nic nie pomaga.

— A jakim numerem ciągnie pan po lisie?

— Dwójką — odpowiadam mocno zniecierpliwiony, gdyż jednocześnie daleki pogwar naganki wyraźnie melduje o mającym się lada chwila rozpocząć pędzeniu.

— Dwójką, to fatalny system, ja naprzykład, strzelam tylko śrutem powyżej czterech milimetrów — wykrzykuje apodyktyczny kolega, stukając mnie teraz dla odmiany lufami w okolice wątroby.

— Naganka zaraz ruszy. Rozejdźmy się lepiej. Miot jest nieduży.

— Jak nieduży, to w porządku. Lis na linię wyjdzie dobiero razem z huczkami. Mamy czas. Pamiętam w Kuflewie...

— Panie kolego, naganka ruszyła.

— Chwileczkę, chwileczkę. Zaraz skończę Panu jak to było z tym rudzielcem w Kuf...

Siwe, wyciągnięte jak struna olbrzymie lisisko przesadza w tej samej chwili linię. Zanim zdążyłem pomyśleć o chwyceniu za strzelbę, rozmówca mój podrywa broń do twarzy i rżnie tuż koło mojej głowy tak blisko z obu luf, że aż rozdzwaniają mi się w uszach, niby bijące na alarm dzwony.

Lis miga raz i drugi w brzeźniaku, zdrów. Sąsiad Neofita rzuca się jednak pomimo trwającego pędzenia na ślad, bo może...

*

Bywają na zbiorowych leśnych polowaniach inne jeszcze, równie nieprzyjemne typy sąsiadów, jak nałogowi i stali palacze, kaszlący, tupiący i zabijający ręce przy lada mroziku, stojący uparcie nie pod knieją, a z przeciwnej od gonu stronie duktu. Są oni jednak

niczym w porównaniu z sąsiadami, spotykanymi w czasie polowań polnych, a już w szczególności w kotłach.

Pierwszym z nich będzie sąsiad głęboko pobożny czyli Dewot.

Lekki śnieg, 3° mrozu, dzień, choć zlekka pochmurny, ale cichy i bezwietrzny, jest idealny na kotłowe polowanie. Zajęcy ćma, gładko i szybko idzie zakład za zakładem.

Kocioł już zamknięty, powoli schodzimy się do środka, oznaczonego wysoką żerdzią z wiechą zatkniętą na czubku.

Jednego kota ruluję na sztych, drugi ładnie koziołkuje do boku. Eżektory wyrzucają puste łuski. Jednocześnie widzę, jak trzeci, idący wprost na mnie zając, powoli wykręca i kipi na sąsiada. A sąsiad zdążył już uklęknąć. Niska sylwetka pobożnego myśliwego otacza się raz i drugi dymem. I choć szarak spisuje już zadniemi skokami testament, dewot nie kwapi się jakoś podnieść z kolan i ruszać naprzód. Może zresztą dziękuje Św. Hubertowi za szczęśliwy strzał na klęczkach.

To też po chwili dwa, idące mi na sztych koty znów wykręcają, niby pociągnięte munsztukiem, ku mało widocznemu na tle horyzontu o skróconej o połowę postaci, myśliwemu.

Złość mnie porywa na sąsiada i choć zasadniczo unikam dalekich strzałów, palę do obu defilatorów na dobre 80 kroków. Pierwszy zwalnia wyraźnie, aż wreszcie przysiada, chwieje się na boki, drugi z obciętymi skokami szamoce się na miejscu.

Wtedy pobożny Dewot kładzie się na ziemi krzyżem, wystawiając niewidoczne lufy spoza wyższej nieco kretowiny.

To atakującym szarakom wystarcza. Mkną jeden za drugim w ślad na otwartą, wolną od straszliwej sylwetki ludzkiej przestrzeń.

Kretowina jak okop bucha raz po raz dymem i łomocze piorunami strzałów.

*

A teraz sąsiad strzelający zawsze i tylko po linii, zapewne obciążony straszliwym jakimś tajemniczym magnetyzmem, czyli poprostu sąsiad Busola.

Mokro, chmury lecą nisko nad ziemią, rosząc raz po raz deszczem. Wiatr zacina, czesząc jesienne oziminy i szarpiąc zeschłymi łęcinami. Ugory są szare i smutne, grząskie podorywy lśnią mokrymi skibami czarnoziemu.

Jest wilgotno, posępnie i szczęśliwie miękko.

Dlaczego szczęśliwie? Więc szczęśliwie dlatego, że mam dzisiaj i to odrazu w pierwszym kotle namagnetyzowanego sąsiada Busolę.

Ledwo zamknęliśmy krąg, już smaruje mokry, aż czarny od deszczu zając, bryzgając grudkami błota i chlapiąc przez kałuże jak podrywająca się z wody łyska.

Do przeciwległej ściany kotła jest dobre półtora kilometra, za kotłem zaś pusta przestrzeń ciągnie się aż do zamglonego horyzontu. Mój zdecydowanie niezdecydowany sąsiad prowadzi lufami za szarakiem, prowadzi i kiedy kot mija wreszcie najbliższego naganiacza — pada strzał.

Zając ucieka, chłopak wrzeszczy, myśliwy drepcze niespokojnie w miejscu.

Szczęśliwie okazało się, że chłopak zarobił parę nieszkodliwych czarnych centek od uderzeń śrucinami po udach i górala, żeby przestał wrzeszczeć.

Sąsiad strzela teraz ostrożniej, celuje jeszcze dłużej i puszcza parę kotów bez strzału. Wreszcie jednak, kiedy idące dwa jeden za drugim zające podsuwają się na łatwego dubleta, sąsiad nie wytrzymuje nerwowo i strzela, jak każe mu jego tajemny magnetyzm.

Oba szaraki rulują jeden na drugiego, a raczej drugi na pierwszego, naganiacz, teraz ten z przeciwnej strony, drze się jak obdzierany ze skóry. Sąsiad zatrzymuje się niepewny i wyraźnie zdenerwowany.

Wreszcie zdublowany chłopak, z podwójną porcją centek na półgęsku uspakaja się, otrzymawszy o 100% wyższy wiatyk i ruszamy dalej.

Kiedy zabrzmiała dwukrotnie trąbka hasłem: „Naganka do środka", odetchnąłem, że miot ma się ku końcowi.

Radość okazała się jednak przedwczesną. Bowiem z pod nóg jednego z chłopców podniósł się warujący w bróździe, a teraz oszalały ze strachu zając. Kot mignął w prawo, zrobił woltę w lewo, aż wreszcie odprowadzony kijami naganki, zawrócił i wybrał sobie drogę, rany Boskie, między mną a moim namagnetyzowanym sąsiadem.

Już widzę, jak czarna kreska luf dwunastki sąsiada skraca się, posuwa w moją stronę, zamienia w dwa czarne punkciki. Jeszcze chwila i będę wrzeszczał jak przed pół godziną obaj naganiacze.

Podnoszę zatem błyskawicznie kołnierz futerka i siadam w podorywie tyłem do nadbiegającego zająca. Jednocześnie strzał i jak by dziesięć batów smaga mnie po plecach i ramionach.

Szczęśliwie puszyste oposy zatrzymują bliskie śruty i wstaję z ziemi z kilkoma zaledwie dziurkami w pokryciu futra.

Trąbka dzwoni trzykrotnie.

Koniec kotła. Hurra!

Wyszedłem z opresji bez szwanku.

Ze znanych jeszcze ogólnie sąsiadów kotłowych wymienić należy gorliwych „Pomologów", którzy trudnią się tworzeniem „gruszek" w kotle, szybkobiegaczy czyli „Nurmich", którzy mając znakomicie bijące Hollandy czy Syreny, wyrywają do środka kotła, jak na zawodach, aby wystrzeliwać wszystkie kręcące się po środku defilatory.

Są też odludkowie czyli „Pustelnicy" nie znoszący w pobliżu towarzystwa człowieka i stwarzający w kotle kilkusetmetrowe luki przez odsyłanie naganiaczy daleko na boki, znaleźć też można sąsiadów myśliwych, w których żyłach płynie kropla krwi indiańskiej i którzy zwią się z tego powodu "Sokole Oko". Ci ostatni Komancze potrafią wypatrzyć każdego przytulonego w kotlinie zajączka i tam go przygwoździć celnym strzałem do ziemi.

Boję się, że powyższe rozważania o sąsiedzie myśliwym mogą rozpętać koło mojej głowy istną burzę i stworzyć mi wielu wrogów i niechętnych. Toteż z góry zastrzegam się, że nie myślałem o nikim, o żadnym ze znajomych i kolegów.

Niech porucznik Maciek nie myśli, że jego nazywam „Dewotem", niech memu szwagrowi, Jankowi, nie zdaje się, że posłużył mi jako wzór do „Filuta", niech stary, od szczenięcych lat przyjaciel, Zbyszek,

nie sądzi, że on jest kawalerzystą „Rębaczem", niech też inżynier Ch. nie sądzi, że kolega „Pobożny" ma być do niego podobny jak dwie krople wody.

Nie!

Po trzykroć razy nie!

Wszystkie wymienione przeze mnie przykłady, choć wzięte z życia, datują się z czasów przedwojennych. Dla ścisłości podkreślam jeszcze, że z okresu sprzed wojny światowej.

Dziś tacy dokuczliwi sąsiedzi przepadli, wyginęli do nogi.

Regulamin polowań Polskiego Związku Łowieckiego jest bowiem przestrzegany rygorystycznie aż do przesady.

Sądzę, że te wyjaśnienia zadowolą wszystkich, którzy by się mogli czuć dotknięci. Szczególnie jeśli podkreślę, że użyty na początku tych rozważań zwrot „reminiscencja z ubiegłego sezonu" był poprostu koniecznym wstępem, w jaki autor musi zaopatrzyć każdy artykuł.

Z. Kowalski.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

CO MOŻNA ZROBIĆ DLA OCHRONY CIETRZEWIA

W artykule p. t. „Jeszcze na temat pardw i cietrzewi", drukowanym w N-rze 30 „Łowca Polskiego" z 1938 r., poruszyłem obszernie sprawę rozszerzenia czasu ochronnego na ten rodzaj zwierzyny, wykazując celowość i konieczność tego posunięcia. Jednocześnie zaznaczałem, że samo wprowadzenie prawnej ochrony nie uratuje jeszcze cietrzewia od zagłady, a stworzy tylko pozory, że coś się dla tej ochrony robi. Skrócenie czasu polowania na barwne koguty jest jednym z bardzo ważnych środków, zmierzających do podniesienia zwierzostanów cietrzewich w Polsce, jednym — ale nie jedynym. W pracy dzisiejszej pragnę właśnie zwrócić uwagę ogółu posiadaczy terenów cietrzewich na szereg innych rzeczy, niejednokrotnie zwykłych drobiazgów, które łatwo uchodzą uwagi myśliwego, a jednak dla hodowli łowieckiej mają nieraz doniosłe znaczenie. Właśnie te drobiazgi, w połączeniu z rozszerzonym terminem bezwzględnej ochrony, przyczynią się niewątpliwie do poprawy stanu cietrzewi, który w chwili obecnej nie przedstawia się jeszcze zbyt tragicznie, aczkolwiek zanik tej zwierzyny staje się coraz bardziej widoczny i każe zastanawiać się już teraz nad skutecznymi środkami zaradczymi.

O ochronie, czy hodowli cietrzewia w tym znaczeniu, w jakim się mówi np. o hodowli kuropatwy — rzecz prosta nie może być nawet mowy. Cietrzew jest ptakiem dzikim, nie znoszącym opieki człowieka, a tym samym opieka ta siłą rzeczy musi stać się bardzo ograniczoną. Postęp kultury, zamieniający dawne dzikie knieje w szachownicę lasów zagospodarowanych, przeciętych pasami zrębów i upraw—mimo woli przyczynił się do stworzenia cietrzewiowi odpowiednich warunków egzystencji, to też stan tych ptaków początkowo zaczął wybitnie się polepszać. Z drugiej jednak strony ten sam postęp kultury rzucił na teren lasu niespotykaną dotąd ilość ludzi pasących swe inwentarze, grabiących ściółkę, żywicujących cięcia i trzebieże, wywożących wyrobione sortymenty — słowem uwijających się w każdej porze dnia i roku po terenach, będących tokowiskami, miejscami lęgowymi i żerowiskami tej zwierzyny, która zaczęła cofać się pod naporem ciżby ludzkiej, emigrować, poszukiwać zakątków bardziej spokojnych, a nie znajdując ich — zaczęła ginąć.

Ze względu na wymienioną uprzednio dzikość cietrzewia — środki hodowlane, zapobiegające zanikowi tej zwierzyny, są nader skąpe i dlatego szerszemu ogółowi myśliwych mało znane. Ponieważ jednak stosowanie ich odbija się korzystnie na zwierzostanie cietrzewim, przeto pozwolę sobie na pobieżne ich omówienie w niniejszym artykule.

W sezonie letnim t. j. w ciągu czerwca i lipca, gdy cieciorki z młodzieżą trzymają się przeważnie zarosłych trawą błotek leśnych i dzikich łączek, zagubionych w głębi lasów — nie należy „wygalać" kosą takich zakątków, a dobrze jest pozostawić w spokoju do późniejszego okresu tę partię łąki, gdzie gęściej porastają kępy olszyn lub łozy, graniczącej z lasem, czy zarosłym błotem. Tu bowiem stadka cietrzewi zwykły żerować i kryć się w trawie przed okiem drapieżników. Łąkę taką można jeszcze skosić w sierpniu bez szkody dla gospodarstwa i zwierzostanu.

W tym samym okresie trzeba zwrócić najbaczniejszą uwagę na pasanie bydła, a zwłaszcza na obecność przy nim psów. Bowiem w każdym innym czasie wypas inwentarza nie szkodzi tak stanowi cietrzewi w łowisku, jak właśnie teraz. W ostateczności, gdy pasaniu bydła nie można zapobiec — trzeba już machnąwszy ręką na zwierzostan przeznaczyć na ten cel pewne obszary, zamykając jednocześnie wypas na innym terenie, zwłaszcza takim, gdzie cietrzewie występują obficiej. Ma to tę dobrą stronę, że zwierzyna, wypędzona ze swych ostoi przez wałęsające się bydło,—zatrzymuje się tam, gdzie znajduje względny spokój i nie opuszcza zupełnie łowiska.

Obecność psów przy stadzie musi być bezwzględnie zakazana. Ze względów zupełnie zrozumiałych trzeba dążyć do tego, żeby pasły inwentarz osoby w starszym wieku, a nie psotna młodzież, której nigdy zaufać nie można. Najgroźniejszym jednak wrogiem hodowli łowieckiej jest wypas bydła na całym obszarze, gdyż wówczas ustawicznie niepokojona zwierzyna i przepędzana z miejsca na miejsce — zniechęca się do łowiska i emigruje poza jego granice.

Z początkiem sierpnia, gdy młode cietrzewie zaczną stawać się podlotami, całe stadka przenoszą się na miejsca bardziej otwarte i obfitujące w jagody: borówki, mącznice, żórawiny i jagody czarne. W tym okresie biesiadują ptaki na porębach, bagniskach i w wysokopiennych drzewostanach o podłożu złożonym z jagód czarnych, czy borówek. Teraz już wymagają one mniejszej opieki człowieka, która redukuje się tylko do odstrzału drapieżników, przede wszystkim gołębiarzy, oraz lisów tam, gdzie występują one w większej ilości.

W tym samym mniej więcej czasie zacząć należy stosowanie dokarmiania cietrzewi, które w okresie późnej jesieni i początków zimy wpływa bardzo dodatnio na utrzymanie tego ptactwa w łowisku. Polega ono na tym, że w pobliżu terenów, gdzie cietrzewie stale przebywają, zasiewamy małe pólka owsem lub tatarką. Powierzchnia takiego pólka nie powinna przekraczać 1 ha, a kształt jego musi być zbliżony do wąskiego i długiego prostokąta, by cietrzewie jak najprędzej natrafiły na przygotowane dla nich przysmaki. Trzeba trzymać się zasady, że lepiej jest rozrzucić po obszarze lasu kilka pólek mniejszych, niż w jednym miejscu uprawiać duży kawał gruntu.

Z chwilą, gdy owies czy tatarka dojrzewają — nie należy sprzątać plonu, tylko pozostawić go na pniu dla cietrzewi, które wkrótce odnajdą pólko i zaczną na nim żerować. Początkowo ptaki wybierają ziarnka z kłosów, później jednak ziarno wysypuje się i cietrzewie żerują już na ziemi. Korzystając z tego zwyczaju, w miarę jak pokarmu ubywa — trzeba rozsypywać po całym pólku owies, względnie tatarkę, w zależności od tego, co było zasiane. Cietrzewie nie poznają się na oszustwie i zlatują w dalszym ciągu na żer, zbierając starannie podsypaną karmę i paprząc się w piasku. W ten sposób można je dokarmiać aż do spadnięcia śniegu.

Pólka takie muszą być jednak położone w miejscach względnie odludnych, zdala od zabudowań, dróg i pastwisk, by żerujące ptaki nie były narażone na częste niepokojenie. Podsypywanie ziarna może być czynione tylko w takiej porze, kiedy istnieje gwarancja, że cietrzewi nie będzie już na pólku, najlepiej więc o zmierzchu wieczornym, albo w samo południe. Natomiast w czasie żerowania, a więc rankami i przed wieczorem, na pólkach musi panować bezwzględny spokój.

W okresie zimowym, gdy sypanie ziarna nie może być stosowane z powodu pokrywającego ziemię śnieżnego całunu, dobrze jest na wyżej wspomnianych poletkach ustawiać gdzie niegdzie kupkami po parę snopków owsa, czy też tatarki. Żeby uchronić snopki od przewrócenia w czasie panującego wiatru — należy nadziać je na wkopane uprzednio w ziemię zaostrzone u góry paliki, wystające nad śniegiem do wysokości ½ do ³/₄ metra. W celu utrzymania ciągłości dokarmiania, snopki te trzeba ustawić zaraz po spadnięciu śniegu, uniemożliwiającego dotychczasowe rozsypywanie ziarna po ziemi. Postępując w ten sposób nie pozwalamy cietrzewiom zapomnieć o żerowisku i możemy w ciągu całej zimy, w krytycznych momentach, przychodzić im z pomocą.

Jesienią, będąc o wschodzie lub nad wieczorem w kniei, słyszy się często bełkot cietrzewia. Na czubku oblanej słońcem sosenki siedzi stary kogut. Roztoczył wspaniale ogon, opuścił nieco loty, wyciągnął poziomo szyję. Wdzięczna sylwetka ptaka, oprawna w zieleń igliwia, rysuje się wyraźnie na tle szafirowego nieba, zdającego się uśmiechać do tego klejnotu polskiej kniei. To stary pieśniarz — tokowik.

W łowiskach, gdzie cietrzewie nie są zbyt liczne, trzeba oszczędzać takie tokujące jesienią koguty, gdyż są one zawsze przewodnikami zimowych stad oraz prowodyrami na wiosennych igrzyskach, zbierającymi dookoła siebie większą ilość młodych samców, dzięki czemu powstają dobre tokowiska, na których brak uskarżamy się obecnie coraz częściej.



Z budki na tokowisku *fot. E. Frankiewicz*

W czasie zimy stada cietrzewi, po spędzeniu nocy na ziemi, w rozrosłych kępach trawy, pod małymi świerczkami czy choinkami, w gąszczach łozy, albo w norach wygrzebanych w głębokim śniegu — wylatują rankami na grupki brzóz czy czarnej olszy i objadają skwapliwie pączki i szyszeczki tych drzew. Nasycone ptaki siedzą w dalszym ciągu na wierzchołkach, grzejąc się w bladych blaskach zimowego słońca do późnego popołudnia, kiedy to znowu zaczynają żerować. O samym zachodzie lub bezpośrednio po nim spływają na ziemię, przygotowując się do noclegu. W tym okresie należy zwrócić baczną uwagę na tropy lisie w okolicach noclegowych miejsc cietrzewi. Mykita bowiem umie doskonale wyśledzić śpiące ptaki i pobiera od nich potem krwawą daninę. O ile stwierdzimy tam obecność rudego spryciarza — musimy wysilić całą naszą wiedzę łowiecką, by jakoś spotkać go na strzał, gdyż w przeciwnym razie z pięknego stada mogą nam pozostać tylko wspomnienia i krwawe ślady lisiej działalności.

Do szczególniej przez cietrzewia wyróżnianych drzew należy brzoza, gdyż jej pączki stanowią w okresie zimowym najulubieńsze pożywienie tej pięknej zwierzyny. Tymczasem nowoczesne kierunki hodowli lasu uznały drzewo to za chwast, który jest starannie usuwany zarówno z podrastających kultur, jak i ze starych drzewostanów objętych trzebieżą. Ten stan rzeczy godzi poważnie w rozmnożę cietrzewia i w dużym stopniu przyczynia się do jego zaniku. Musimy zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, że bez brzozy nie utrzymamy w łowisku tego ptaka. Gaiki brzozowe nad brzegami polan leśnych, błot czy wilgotnych łąk — ulubione żerowiska zimowe cietrzewi — muszą pozostać na swych miejscach tak długo, jak długo pragniemy widzieć na danym terenie szmelcowane rycerzyki.

Dbały hodowca powinien wykorzystać zimę do obliczenia stanu cietrzewi w łowisku. Jeżdżąc bowiem po kniei, zwłaszcza rankami, widać zdaleka rozsiadłe na czubkach drzew ptaki i z powodzeniem można obliczyć nie tylko ilość sztuk, ale nawet ilość kogutów i kur. Zestawiając potem dane z różnych partii lasu otrzymuje się przybliżoną sumę zwierzyny, według której możemy ustalić wiosenny odstrzał kogutów, co w czasach dzisiejszych staje się koniecznością.

Dotychczas bowiem wiosenne polowanie na cietrzewie było zupełnie przypadkowe, nie objęte żadnymi zasadami hodowlanymi, ani poparte obserwacjami. Siedzący w budce myśliwy cieszył się, widząc toku-

jące dookoła koguty i zabijał tyle, ile mu się udało, nie zastanawiając się, czy wolno na tym terenie odstrzelić taką ilość i czy istnieje więcej tokowisk w danym łowisku.

Jak wiadomo, w okresie igrzysk wiosennych koguty i kury zlatują się z całej okolicy na swe ulubione, wybrane od lat tereny, na tokowiska. Zdarza się jednak bardzo często, zwłaszcza w łowiskach o mniejszej powierzchni czy małej ilości tego ptactwa, że na całym obszarze istnieje tylko jedno miejsce, gdzie cietrzewie gromadzą się wiosną na gody. Myśliwy, obserwując z budki np. pięć kogutów i osiem kur, uważa stan zwierzyny za dobry i spokojnie odbija trzy tokowiki— nie zdając sobie sprawy, że ma przed sobą cały zwierzostan cietrzewi tego terenu. Naturalnie tak bardzo wysoki odstrzał odbija się fatalnie na stanie tego ptactwa, jastrzębie robią również swoje i już w roku następnym przychodzi katastrofa, a człowiek ów biedzi się nadaremnie nad ustaleniem przyczyny tak nagłego zaniku cietrzewi i rozbicia tokowiska.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia, gdy hodowca w ciągu zimy ustalił przypuszczalny stan cietrzewi i zaprojektował odstrzał na wiosnę. Wówczas myśliwy nie ulegnie optymizmowi i pomimo pozornie dużej ilości tokowików, odstrzeli wyłącznie normę właściwą, co zwierzostanowi wyjdzie tylko na korzyść, a przyszły sezon da z pewnością dwukrotnie większą cyfrę grających kogutów.

Coroczne zaprojektowywanie odstrzału cietrzewi na podstawie spostrzeżeń zimowych — jest rzeczą bardzo ważną i dlatego raz jeszcze zwracam na nią uwagę wszystkich posiadaczy terenów cietrzewich.

Z końcem lutego, gdy gorący pocałunek słońca dotknie zziębniętych warg ziemi, a z nawisłych okapów śniegu spłyną pierwsze krople wody, gdy odezwie się miły świergot sikory — stary kogut, prowodyr zimowego stada, rozpoczyna pierwsze takty wiosennego preludium. Nie ma teraz jeszcze właściwego toku. W cieplejsze dnie około południa doświadczony pieśniarz zagajów, podniecony wesołymi promieniami, intonuje swój hymn miłosny. Śpiewa, siedząc na drzewie, w pobliżu żerującego stada.

W okresie przedwiośnia grają tylko najstarsze samce-tokowiki. Młode koguty i cieciorki biernie przysłuchują się tym serenadom platonicznej miłości. Później jednak roznamiętniają się i one. Stado przestaje żerować na drzewach, gdyż coraz większe płaty ziemi wyłaniają się spod zimowego całunu. Przemarznięte jagody wabią ku sobie wychudzone ptaki, nęci je także brudny szmaragd odtajałych traw. Stopniowo oddzielają się od gromady tokowiki, później młode koguty. Kury jakiś czas trzymają się po 2, 3, by wreszcie rozproszyć się całkowicie.

A tymczasem prowodyrzy obierają miejsca na tokowiska, dokąd ściągają i młodsi szermierze. Są to zwykle poręby, leżące wśród lasów czy zagajników, małe pólka lub łąki, oraz trawiaste połacie błot. Wilgoci cietrzewie nie obawiają się zupełnie i tokują bardzo chętnie nawet na takich bagniskach, gdzie człowiek grzęźnie w błocie po kolana.

Z każdym rokiem słyszy się coraz częstsze utyskiwania na zanik dobrych tokowisk cietrzewich. Główną przyczyną tego zjawiska jest bez wątpienia wybitne zmniejszenie się stanu cietrzewi w naszym kraju. Są jednak i inne względy, które wpływają ujemnie na przebieg toków i o nich właśnie wspomnę pokrótce.

Myśliwy, dbały o swój zwierzostan cietrzewi, nie powinien polować często na jednym i tym samym tokowisku, bo to w dużej mierze przyczynia się do zepsucia toków. Płoszone ustawicznie ptaki zniechęcają się do tokowiska i przenoszą się na inne tereny. Normą, którą bezwzględnie należy stosować, jest polowanie dwa razy w ciągu tygodnia i to z przerwą kilkudniową, a więc powiedzmy np. w poniedziałek i piątek.

Drugim błędem, popełnianym zwłaszcza często przez młodych, gorączkujących się myśliwych, jest strzelanie do pierwszego koguta-tokowika, zjawiającego się na tokowisku. Zabicie tego prowodyra rozprasza zgromadzone cietrzewie, powodując zanik tokowiska. Pojedyńcze koguty rozlatują się wówczas po okolicy i tokują samotnie, co przyczynia się z kolei do rozproszenia kur, odbijającego się ujemnie na ilości jaj w gnieździe, a co za tym idzie i ilości młodych.

W łowiskach o małej ilości tej zwierzyny, zdarza się również często, że ptaki grają pojedynczo, nie łącząc się ze sobą. Powodem tego bywa zazwyczaj brak starych doświadczonych tokowików, albo też brak odpowiednich mało uczęszczanych przez ludzi, bydło, czy inną jakąś zwierzynę — miejsc, gdzie by ptaki mogły odprawić spokojnie swe gody wiosenne. Szczególniej niepokojąco wpływa na przebieg toku bliska obecność dzików i rogaczy, jak również pojawienie się w okolicy skrzekota, albo obfitość jastrzębi-gołębiarzy. Zdaniem innych pisarzy łowieckich, m. in. kol. Mniszek-Tchorznickiego — sąsiedztwo bażantów także powoduje emigracje z łowiska tej cennej zwierzyny.

Skoro tylko ustalimy, że na pewnym terenie tokują cietrzewie — trzeba dbać o to, by w okresie wiosennym nie dotarło tam pasące się bydło i zbytnio nie kręcili się ludzie. Wprawdzie toki przypadają jeszcze na okres chłodów, kiedy bydło na pole nie wychodzi, ale włościanie, gdy im zabraknie paszy, potrafią wygonić na pastwisko nawet i w końcu marca, toteż taki niespodziewany wypadek może zdarzyć się bardzo często, zwłaszcza że tokowiska położone są na odludziu i dlatego mniejszej podlegają ochronie. Gdy toki już się skończą, roboty gospodarcze mogą iść zwykłym trybem i cietrzewiom zbytnio to nie zaszkodzi. Jednak w okresie ich godów miłosnych musi panować na tokowisku zupełny spokój.

Stawianie budek winno odbywać się tylko w tym czasie, gdy cietrzewi nie ma w pobliżu, a więc najlepiej w samo południe, pomiędzy godziną 12-tą a 13-tą. Myśliwi, przychodzący do budek, powinni przybyć pod osłoną nocy, przynajmniej na pół godziny przed nastaniem pierwszego brzasku, by śpiące w pobliżu koguty, zaniepokojone pluskiem wody i odgłosem kroków — mogły się uspokoić i normalnie rozpocząć tok. Wszelkie późniejsze zasiadanie w budkach jest bardzo szkodliwe; gdy się stwierdzi po przybyciu, że jest już zupełnie jasno i koguty, które rozpoczęły grę, zobaczą przekradających się przez tokowisko myśliwych — należy zrezygnować na dzisiaj z wyprawy do budek, a próbować szczęścia z podchodu na innych terenach. Również niedopuszczalne jest wychodzenie z budki po zabitego koguta, lub w jakimś innym celu, zanim choć jeden cietrzew jest jeszcze na tokowisku.

Pozornie wydawać by się mogło, że sprawa ochrony tokowisk cietrzewich nie ma nic wspólnego z ochroną samej zwierzyny, w rzeczywistości jednak rzecz się przedstawia zupełnie inaczej. Jak już wspomniałem,

ptaki te są bardzo przywiązane do swych tokowisk i rok rocznie powracają do tych samych miejsc w okresie godów wiosennych. Zniszczenie tokowiska przez wypas bydła, czy też wypłoszenie z niego barwnych rycerzy przez częste wałęsanie się ludzi po arenie ich miłosnych zalotów — odbija się bardzo ujemnie na stanie tej zwierzyny, która zazwyczaj w tym wypadku emigruje na inne tereny, nierzadko położone nawet poza granicami danego łowiska. Z tego też względu należyta ochrona tokowisk jest jednym z głównych punktów ochrony cietrzewia wogóle.

Po ukończonych igrzyskach, gdy cieciorki zajmą się wylęganiem jaj — troska hodowcy winna przenieść się na teren lęgowisk cietrzewi. W jakich zakątkach można znaleźć gniazda cietrzewie? Trudno dać na to odpowiedź, jednak postaram się scharakteryzować pobieżnie miejsca, w których cieciorki najchętniej ścielą



Z podchodu

kolebki swemu potomstwu. A więc gniazda znajdują się zwykle w miejscach zgoła nieoczekiwanych. Mogą to być wypaleniska, powstałe po dawnym pożarze, na których roślinność zaczyna zwolna odrastać, albo świeże zręby ze stojącymi sągami drzewa i kupami gałęzi. Czasami miejscem lęgowym bywa wrzosowisko, z rosnącymi tu i ówdzie pojedyńczymi młodymi sosenkami, lub paroletnie kultury sosnowe, dobrze rozkrzewione i zachwaszczone. Zawsze jednak będzie to teren suchy, odkryty i wystawiony na operację słońca. I rzecz dziwna: o ile w okresie późniejszym zwierzyna ta trzyma się najchętniej zarośli, błot i gęstych wilgotnych zagajów, o tyle gniazda są zawsze umieszczone w miejscach suchych, piaszczystych i odsłoniętych. Na wypaleniskach znaleźć je można najczęściej pod młodą sosenką, w kępce wrzosu, albo przy sterczącym pieńku. Na zrębie gnieździ się cieciorka zazwyczaj tuż przy złożonej kupie uschłych gałęzi, często też pod pojedyńczą starą gałęzią sosnową z nieopadłym igliwiem, leżącą na ziemi. We wrzosowisku i w kulturze wybiera przeważnie dużą wyspę rosnącego chwastu, wrzosu, czy też parę stojących w zwarciu małych sosenek.

Wziąwszy wyżła na długi otok i spacerując po wyżej wspomnianych terenach, można z łatwością odnaleźć po mistrzowsku nieraz ukryte gniazda i zaznaczyć je zatkniętą nieopodal w ziemię gałęzią. Ma to ogromne znaczenie, gdyż wywożąc na przykład drzewo, czy też gałęzie, albo dokonując innych czynności gospodarczych, istnieje wówczas możliwość ominięcia tego miejsca i pozostawienia w spokoju wysiadującej cieciorki. Kontrolując co pewien czas (raz na dwa tygodnie) znalezione gniazda, możemy stwierdzić z łatwością, które gniazdo zostało zniszczone przez drapieżniki, a gdzie młode wylęgły się szczęśliwie i w jakiej ilości. Oczywiście nie sposób jest odnaleźć wszystkich gniazd w łowisku, jednak obserwując pewną ich ilość, możemy procentowo ustalić przypuszczalny przyrost roczny w naszej kniei.

Kończąc niniejszy artykuł, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że nie wyczerpałem wszystkich sposobów ochrony cietrzewia. Mam jednak nadzieję, że tych kilka uwag, które powyżej przytoczyłem — może przydać się wszystkim tym, komu na utrzymaniu w łowisku tak pięknej zwierzyny jak cietrzew — naprawdę zależy.

Leopold Pac-Pomarnacki.

Sprawozdanie Przewodniczącego Komit. Wykonawczego

za okres od 29.V. do 25.X.47 r.

Na wstępie pozwolimy sobie podnieść, że dzisiejsze Zebranie nasze odbywa się w odbudowanym lokalu P. Z. Ł. przy ul. Nowy Świat 35, w tym samym domu, w którym krzewiła się i kwitła przez długie lata myśl i praca dla ideowego Łowiectwa Polskiego.

Obradujemy w sali, która nosi imię Jana Sztolcmana, wielkiego przyrodnika, myśliwego i pisarza łowieckiego, toteż wspomnienia muszą nam jednocześnie stawiać przed oczyma innych Kolegów, którzy pracę dla łowiectwa polskiego mieli najgłębiej zakorzenioną w sercach i pamięć o których przechowała się w tych murach na zawsze, jak Stanisława Zaborowskiego, Władysława Słończyńskiego, Feliksa Rożyńskiego, Hermana Knothego, Walentego Garczyńskiego, Juliusza Bielskiego, Bolesława Świętorzeckiego, Juliana Ejsmonda, Konstantego Chłapowskiego i wielu, wielu innych.

Jesteśmy głęboko przekonani, że lokal ten, Siedziba nasza i dom Polskiego Myśliwego, staną się nadal kuźnicą pracy i myśli łowieckiej i pozwolą skupić jak największą ilość Kolegów w pracy dla ukochanej przez nas wszystkich idei.

I. Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego.

Skład Rady Naczelnej Polskiego Związku Łowieckiego przedstawia się obecnie następująco:

Prezes: gen. Bolesław Szarecki, Vice-Prezesi: Józef Skrzypek, Janusz Regulski, gen. Stefan Mossor, inż. Mieczysław Niezabitowski, inż. Gabriel Głowacki. Członkowie: Edward Bertold, Kazimierz Cybulski, inż. Karol Humiński, płk. Janusz Karwowski, Zbigniew Kowalski, Zbigniew Korolkiewicz, płk. Stanisław Łętowski, płk. Apolinary Minecki, Mieczysław Mniszek-Tchorznicki, inż. Wiktor Mrugasiewicz, Maciej Nowak, Józef Ostrowski, Jan Steliński, Dr. Aleksander Tallen-Wilczewski, Zbigniew Tadeusz Zabłocki, Jan Zaborowski.

Przewodniczący Sądu Łowieckiego: Min. Maurycy Jaroszyński.

Skład Komitetu Wykonawczego od dn. 20.X. 47 r. przedstawia się jak poniżej:

Przewodniczący: Dr. Korolkiewicz Zbigniew; wiceprzewodniczący: Kowalski Zbigniew; sekretarze: Mniszek-Tchorznicki Mieczysław, Nowak Maciej; skarbnik: Cybulski Kazimierz; referent łowiecki: Zbigniew Zabłocki; członkowie: inż. Humiński Karol, płk. Karwowski Janusz, dr. Tallen-Wilczewski Aleksander.

Przewodniczący Komisji Głównych:

I. Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego — mjr. Sztukowski Stefan.
II. Komisja Główna Kynologiczna — Klawe Zdzisław.
III. Komisja Główna Propagandowa — Kurator Wojeński Teofil.
IV. Komisja Główna Muzealna i Pokazów — Mniszek-Tchorznicki Mieczysław.
V. Komisja Główna Wydawnicza — Śliwiński Andrzej.
VI. Komisja Główna Walki z Kłusownictwem — Chomicki Stanisław, inż.
VII. Komisja Główna do Spraw Młodzieżowych — Herczka Rudolf.
VIII. Komisja Główna Prawnicza — Tallen-Wilczewski Aleksander.
IX. Komisja Główna Towarzyska—Herczka Zenon.
X. Komisja Główna dla Kontaktów Zagranicznych — Nowicki Jerzy.
XI. Komisja Główna Organizacji Stowarzyszeń Łowieckich — inż. Łatkiewicz Władysław.
XII. Komisja Główna Spółdzielniana — inż. Zan Tomasz.

W ciągu ostatniego okresu sprawozdawczego Kol. Zbigniew Kowalski, Przewodniczący Komitetu Wykonawczego, znajdował się na urlopie, udzielonym mu przez Komitet i pełnił funkcję Komisarza Odbudowy Siedziby P. Z. Ł. Obecnie objął funkcję Wice-przewodniczącego Komitetu Wykonawczego, oraz zastępcy redaktora „Łowca Polskiego".

II. Biuro Związku.

Z dniem 1.X.47 r. na skutek prośby Kol. Mniszka-Tchorznickiego o zwolnienie z zajmowanego stanowiska — Dyrektorem Biura Związku oraz Kierownikiem Administracyjnym „Łowca Polskiego" został Kol. płk. Władysław Rozwadowski, jako maszynistka przyjęta została p. Halina Szałowska, inni pracownicy Biura i Redakcji „Łowca Polskiego" pozostali bez zmian.

W okresie sprawozdawczym wpłynęło	327 pism.
wyszło	349 pism.
Korespondencji przebitkowej . . .	420 pism.

W okresie sprawozdawczym odbyły się dwa posiedzenia Komitetu Wykonawczego, zaś cztery posiedzenia Komisji Głównych.

Wydrukowano dodatkowo 5.000 legitymacji zwyczajnych Związku.

Wydrukowano ponadto 5.000 legitymacji nadzwyczajnych Związku.

III. Finanse Związku.

Saldo gotówkowe P. Z. Ł. wynosi na dzień 17.X.47 r.

P. K. O.	I 161 —	1.062.448 zł.
P. K. O.	I 1077—	296.273 zł.
P. K. O.	737 —	354.429 zł.
Kasa	—	100.244 zł.
łącznie:		1.965.544 zł.

Wydawnictwa nie sprzedane, czy nie rozliczone przedstawiają wartość ca. zł. 600.000 zł.

Wpływy od Rad Wojewódzkich, poza Poznańską i Jelenio-górską, nadchodziły regularnie.

IV. Sprawy wewnętrzne P. Z. Ł.

Postanowiono wydać dublikaty odznaczeń tym Kolegom, którzy je otrzymali przed wojną, przyjmując jako podstawę zaświadczenie dwóch członków P. Z. Ł. lub odnalezione ogłoszenie w przedwojennym „Łowcu Polskim" o odznaczeniu.

Wydano pracę Kol. Mieczysława Mniszka-Tchorznickiego pt. „Zasady etyki łowieckiej" w ilości 500 egzemplarzy.

Powierzono wydanie Kalendarza Myśliwskiego na rok 1948 Spółdzielni „Jedność Łowiecka" z tym, że Związek otrzymuje ½ zysku z wydawnictwa. Ustalono tytuł Kalendarza Myśliwskiego na:

„Kalendarz Myśliwski Polskiego Związku Łowieckiego na rok 1948 wydany staraniem Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

V. Sprawy zewnętrzne.

Przedstawiciele Związku Kol. J. Regulski i A. Tallen-Wilczewski byli obecni w lipcu ub. r. na zjeździe Conseil International de la Chasse. W zjeździe tym brały udział 22 państwa, Polska zaś była jedynym reprezentantem środkowej i wschodniej Europy.

W czasie Zjazdu odbywały się jednocześnie dwie sesje: Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Paryżu i Federacji Strzeleckiej ze Sportowej Broni w Vichy.

Władzę Prezesa C. I. C. sprawuje jej przedwojenny Prezes Pan Maxime Ducrocq.

Międzynarodowa Rada Łowiecka utworzona jest z poszczególnych myśliwych, nie ma więc charakteru zjednoczonych organizacji łowieckich poszczególnych państw.

Kol. Regulski wygłosił przemówienie, w którym zaproponował przeprowadzenie reformy Statutu C. I. C. w kierunku utworzenia stałego biura Rady, ustalenia stałej składki członkowskiej oraz przyjmowania na członków przede wszystkim przedstawicieli Związków Łowieckich Krajowych, a osobno myśliwych indywidualnych. Stanowisko to nie znalazło poparcia większości członków Zgromadzenia, choć zgodzono się, aby do C. I. C. należały nie tylko indywidualne osoby, lecz także i organizacje.

W programie drugiej części zjazdu odbyły się próby strzelania do rzutków. W tej dziedzinie panuje obecnie rozłam, bowiem do gier olimpijskich nie dopuszczono strzelania do żywych gołębi, klasyfikując ten sport jako hazard. W związku z tym powstał projekt, aby Federacja Strzelania ze Sportowej Broni Myśliwskiej stworzyła drugą organizację, celem odłączenia czystego sportu myśliwskiego od hazardu. Sprawa ta

rozstrzygnięta została na Kongresie w Sztokholmie w sensie pozytywnym.

Przedstawiciel Komitetu Wykonawczego Kol. Mniszek-Tchorznicki brał udział w obradach P. Rady Ochrony Przyrody w Białowieży, z którą współpraca układa się nadal pomyślnie. Ze względów zasadniczych jest wskazane, aby dla Związku było zarezerwowane miejsce w P. R. O. P.

Na zjeździe zdecydowano również, że sprawy Ochrony Przyrody przechodzą do Ministerstwa Leśnictwa. Z Ministerstwem Leśnictwa odbyto też wspólną konferencję na temat selekcyjnego odstrzału zwierzyny płowej.

VI. Składka na rok 1948.

Postanowiono zaprojektować na Walnym Zgromadzeniu ustalenie wysokości składki na rok 1948 — na 800 zł. dla członków zwykłych i 600 zł. od ulgowych jak: pracowników Leśnictwa, M. O. i U. B. oraz młodzieży.

Motywy podamy przy omawianiu projektu budżetu, będącego właśnie uzasadnieniem takiej wysokości składki.

VII. Odbudowa siedziby.

Na podstawie Uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego przystąpiono do odbudowy siedziby Związku przy ul. Nowy Świat 35. Projekt sporządził Kol. inż. arch. B. Zinzerling.

Komitet Odbudowy opracował ślepe kosztorysy, które zostały rozesłane firmom budowlano-instalacyjnym. W wyniku tego przetargu ograniczonego roboty murarskie i ogólne powierzono Spółdzielni „Przemysł Budowlany Spółdzielnia Pracy" na sumę 1.497.405 zł.

Roboty kanalizacyjne i wodociągowe — F-mie „Kaloria" na ogólną sumę 213.853 zł.

Roboty stolarskie — F-mie J. Geldner i W. Nitkowski na ogólną sumę 683.113 zł.

Na kierownika robót zaangażowano inż. Maksysia za wynagrodzeniem 75.000 zł.

Ogólny kosztorys konturowy wynosi 2.529.371 zł.

Wobec powolnego tempa prac i nieudolności zaangażowanego kierownika robót, delegowano z Komitetu Wykonawczego — jako specjalnego Komisarza Odbudowy — Kol. Zbigniewa Kowalskiego, któremu udzielono całkowitego pełnomocnictwa w tej sprawie.

Wszystkie roboty zostały zakończone w dniu 23.10 1947 r. Wykonano 8 izb o ogólnej kubaturze 800 m3 i kwadraturze 250 m2.

Dla urządzenia lokalu zakupiono meble kuchenne w Spółdzielni „Las" na ogólną sumę 14.183 zł. 50 gr. oraz meble biurowe w F-mie „Sztuka umeblowania wnętrz" na ogólną sumę 89.250 zł.

Poza tym dla sali głównej polecono wykonanie, wg. rysunku Kol. Zinzerlinga, kompletu specjalnych mebli. Zakupiono również komplet lamp za cenę ca 40.000 zł.

Z lokalu Siedziby dwa pokoje przekazano Woj. Radzie Łowieckiej P. Z. Ł., która urządzi je we własnym zakresie.

Wykonano wreszcie portrety: Prezydenta Rzeczypospolitej W. Bieruta i Protektora Związku Łowieckiego, Marszałka Polski, Michała Żymierskiego, oraz Ś. P. Walentego Garczyńskiego i Jana Sztolcmana, jak również fotografie dla dekoracji ścian.

Na nadejście trofeów dla ubrania lokalu — czekamy.

Poza tym na odbudowę dachu i klatki schodowej wpłacono właścicielowi domu Kol. Strumiłło zł. 200.000, jak również wypłacono Kol. Strumiłło zgóry komorne za 12 lat — w wysokości 500.000 zł.

VIII. Łowiec Polski

Mianowano stały Komitet w składzie: I. Członkowie wchodzący do Komitetu z urzędu: Przewodniczący — Redaktor „Łowca Polskiego" — Prof. J. Gieysztor. W.-Przewodniczący Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł. — Zbigniew Kowalski. Przewodniczący Komisji Głównej Propagandowej — Teofil Wojeński.

II. Członkowie Komitetu z wyboru: Czerski Stanisław, Klawe Zdzisław, Krzywoszewski Stefan, Skrzypek Józef, Śliwiński Andrzej, Tchorznicki-Mniszek Mieczysław, Zabłocki Tadeusz Zbigniew.

Ponadto zaproszono do udziału w Komitecie znanego pisarza, Janusza Meissnera.

Obecnie „Łowiec" przenosi się do wspólnego ze Związkiem lokalu i Administracja pisma podlegać będzie Dyrektorowi Biura Związku.

WŁADYSŁAW FAFIŃSKI.

FERIE GWIAZDKOWE

Grudzień—nareszcie! Po całym szeregu kollokwiów, od których różne nazwy, artykuły prawa i terminy naukowe zlały się w głowie w jedną wielką mieszaninę, nadeszły wreszcie długo oczekiwane ferie gwiazdkowe. W ostatnim dniu wykładów załatwiam szybko różne formalności, związane z wyjazdem do domu, jednym tchem pakuję moją skromną walizkę studencką i pełen najpiękniejszych planów na okres ferii, uciekam od hałasu i jednostajności wielkomiejskich ulic na prowincję — do leśnych i polnych zaciszy.

Miarowy, jednostajny stukot wagonów kolejowych kończy się wreszcie — wysiadam. Powózka z domu czeka. Otulam się w płaszcze i koce, w zbyt dużej ilości przysłane do stacji przez troskliwych Rodziców, i wkrótce już wita mnie melodyjny poszum lasu. Wsłuchuję się w ten śpiew przyrody. Teraz najwyraźniej uwydatnia się ta wielka różnica, która oddziela zmechanizowane życie skupiska ludzkiego, jakim jest miasto, od życia nieskończenie pięknej natury boskiego Stwórcy. Powtarzam za Rodziewiczówną — „Pochwalony bądź Panie, coś te cuda uczynił!"

*

Zbliża się Boże Narodzenie. W jednym z ostatnich dni przedświątecznych miejscowe Kółko Łowieckie, którego jest członkiem, urządza na dzierżawionym przez siebie terenie zbiorowe polowanie polne. O świcie już zjeżdżają się myśliwi. Są między nimi leśnicy, pedagodzy, chłopi, urzędnicy państwowi i samorządowi, wreszcie i ja, jedyny student. Serdeczne, szczere przywitania, miła atmosfera. Na twarzach wszystkich

odbija się uśmiech radości, nie widać ani cienia znudzenia czy smutku. Czeka przecież wszystkich dzień wrażeń i emocji! Obserwując to, przypominam sobie słowa wielkiego polskiego myśliwego J. Ejsmonda — „Myśliwska ochoto, dniu łowów szczęśliwy, hej! serce jak złoto ma każdy myśliwy i duszę radosną... i boską, beztroską pogodę!...” Treść ich, znajduje tu swój najistotniejszy wyraz.

Mamy opolować szmat pól i łąk z małymi laskami. Zajęcy podobno ma być dużo, co się wkrótce też potwierdza. Przy mroźnej pogodzie brodzimy w głębokim śniegu od kotła do kotła. Strzały padają dość często. Tu i tam naganiacz „taszczy” białobrzuchego szaraka. Nie czuję głodu ani zmęczenia. Kilka zaledwie małych kawałków chleba wystarczy na cały dzień. Nie czas myśleć o głodzie, gdy zające nawijają się pod lufy, gdy ciągle przybywa wrażeń. Mija południe, kilkadziesiąt szaraków wisi już na saniach. Jako najmłodszy z myśliwych, prowadzę ewidencję odstrzału. Cieszę się, że z rana już zgubiłem „krawca” i że nie jestem też ostatnim co do ilości ubitych zajęcy.

Powoli zbliża się przedwieczór. Jeszcze jeden kocioł i schodzimy z pola, udając się całym orszakiem do Łowczego naszego Kółka, gdzie ma być właściwe zakończenie polowania—bez tego nie byłoby ono w komplecie. W ciepłym pokoju na długich, białych stołach, czekają na myśliwych dymiące misy z bigosem myśliwskim i dosyć pojemne „butelczyny” na rozgrzewkę.

Kiedy rozgwarzona brać myśliwska obsiada stół dookoła, zjawia się wilczy apetyt. Na zesmaganych całodziennym wiatrem twarzach pojawiają się krwawe rumieńce. Nogi po kilkugodzinnej włóczędze trochę ciążą — ale to tylko nogi. Dusza jest wypoczęta, ona w tym dniu nabrała jeszcze energii i siły. Idzie pierwszy toast na cześć króla. Drugim „oblewamy” wicekróla. A potem do misek.

Wieczór upływa na ożywionej dyskusji. Nie obywa się też bez gestykulacji, przy pomocy której odtwarza się najdrobniejsze przeżycia z minionego dnia. Beztroski humor nie opuszcza rozgwarzonej braci ani na chwilę. Na wspomnieniach i opowieściach z przeszłości łowiectwa polskiego kończy się ten piękny dzień myśliwego.

*

Upływają dni następne. Każdy z nich równie piękny, przynosi ze sobą jakąś niespodziankę, wzbogaca w przeżycia. Znów włóczęga po polu i lesie. Badam zwierzostan, notuję w pamięci ciekawe momenty z życia zwierzyny. Pupilami moimi są tak bardzo przetrzebione po ostatniej wojnie sarny. Te naiwne zwierzęta najliczniej padły pastwą różnorakiego kłusownictwa. Trzeba je też otoczyć największą opieką. Apeluję w tym celu do ojca, by urządził w rewirze domki dokarmiające. Myśliwy jest nie tylko strzelcem, jak to wielu laików sądzi, on zna i szczytniejsze pierwiastki etyki łowieckiej — kocha zwierzynę, umie ją hodować, ma wogóle wielki szacunek dla piękna całej natury, której sam jest cząstką.

*

Niebawem czeka mię znów niezapomniane przeżycie myśliwskie. Tuż po świętach gajowy melduje Ojcu o dzikach w rewirze. Otropić, niestety, dobrze nie mógł, gdyż zbyt często przecinały dukty leśne w ciągu ostatniej nocy. Postanawiamy mimo wszystko spróbować szczęścia „na ślepo”, przez kolejne przepędzanie dziczych ostoi. Ojciec zaprasza jeszcze sąsiada pana S., który niebawem przyjeżdża na dziki „pewne”, choć w niepewnych ostojach.

Jest piękny, pierwszy po świątecznej odwilży, mroźny dzień. Bierzemy pięciu ludzi naganki i ruszamy do lasu. Naganiacze wróżą dobre wyniki naszego popołudniowego wypadu. Jeżeli wróżba ta spełni się, ojciec obiecuje im za każdego dzika jedną butelkę „mocnej”.

Zaraz w pierwszym miocie, na „Łysej Górze”, mądra samura z warchlakami przedziera się skrycie, przez nagankę do tyłu. Stwierdzamy to po świeżych tropach na odwodowym wekslu*), po przepędzeniu miotu. W następnej dziczej ostoi, na „Białych Błotach”—głucho. Podobno miało coś być, jeden z naganiaczy twierdzi, iż słyszał coś w gąszczu.

Bierzemy z kolei trzeci miot. Jest to długi pas gęstej, przylegającej do pola, około 15-letniej zagajnicy sosnowej ze świerkowym podszyciem, specjalnie dla dzików podsadzonym. Naganka ma spędzić je wzdłuż zagajnicy na dosyć szeroką drogę.

Zajmujemy w ciszy stanowiska. Pan S. staje na drodze, Ojciec blokuje prawą flankę, od strony niedużych kultur — tam zwykle jest weksel dzików. Ja wybieram sobie stanowisko za zakrętem drogi, mając z prawej strony w odległości około 100 metrów pole, za sobą zaś — drągowinę sosnową. Na pole dziki nie pociągną. Jeżeli coś będzie i nie przedrze się do tyłu, powinno wyjść na strzał. „Potrzeba jeszcze chociaż jednego myśliwego, który by blokował odwodowe weksle — myślę.

W ciszy mija sporo czasu. Powoli słyszę z oddali nadchodzącą nagankę. Jest o jakie 200 metrów od drogi. Zaczyna mi się to nie podobać — trzeci miot i jeszcze nic nie widzieliśmy. — Gdzie tkwią dziki? Przecież samura z warchlakami nie pozostawiłaby tyle tropów z nocy. Są i wyraźne tropy dwóch samotników. Zresztą teraz grudzień, jakiś odyniec musi towarzyszyć rocie dzików w rewirze? Chyba pechowy dzień?

Naraz tok moich myśli przerywa krzyk naganiacza: „dzik! dzik!” Dochodzi z przeciwnego skrzydła. Zwierz ruszony! Mimo woli kurczowo ściskam broń. — Na pewno wysadzi na flankę! Oczekuję tylko echa strzału Ojca. Wtem znów bliższy mnie naganiacz krzyczy — „dzik! — nie daj mu!” — Na pewno mądry samotnik ciągnie wzdłuż linii naganki, chcąc się przedrzeć do tyłu. Może wrzask ludzki go odstraszy. Znów słyszę wołanie bliższego naganiacza. Dzik ciągnie w moją stronę. Uderza we mnie gorąca fala emocji. Upływa w ciszy kilka chwil. — Powinien już być gdzieś blisko? — Czyżby jednak przedarł się? Chyba nie — wziął zapewne kierunek na czoło. W takim razie pan S. będzie miał pole do popisu. Wtem — słyszę w zagajnicy cichy trzask łamanej gałązki — w luce przede mną, na odległość 30 metrów, staje za małym świerkiem krępy szablasty! Widzę tylko wystającą spoza świerka siwą tabakierę i patrzące na mnie świece. Ułamek sekundy — zwierz zawraca... ułamek sekundy — i kula opuszcza lufę. Szablasty ginie mi z oczu. Nie mam pewności co do efektu strzału. W tych warunkach nie mogło być mowy o dobrze wymierzonym strzale — strzelałem z przyrzutu. Mimo tego, idę zobaczyć na miejsce, gdzie stał, co tam się okaże? Ku mej wielkiej radości, znajduję na śniegu ściętą sierść — jednak dostał!!! Trop wskazuje zwrot pod kątem prawie pro-

---

*) Odwodowy weksel—tylna strona miotu leśnego.

stym w głąb zagajnicy. Zaraz po zwrocie, przetarty do ziemi śnieg — zapadł! Kilkanaście metrów dalej rumienią się na śniegu pierwsze krople posoki, coraz ich więcej. Są z obydwu stron tropu i dosyć daleko od niego rozrzucone, — zapewne przestrzał przez brzuch. Miałem naprawdę szczęście, że wogóle trafiłem. Wchodzę w zwarte podszycie świerkowe. Drogę dzika wskazują mi strząśnięte od śniegu gałęzie. Mimo tego pilnie wypatruję pod drzewkami. Naraz znów słyszę alarmujący krzyk naganiacza. Biegnę prawie w tym kierunku. Po chwili jestem przy wystraszonym chłopie, który widząc mnie, woła: „Panie, on ranny! Ledwie idzie! chciał mnie atakować! musiałem wskoczyć na drzewko!..."— „Wiem, że ranny, bądźcie tylko cicho. Rannej zwierzyny nie trzeba straszyć". Postanawiam nie płoszyć niedaleko już może leżącego dzika. Wołam tylko jeszcze Ojca i pana S. — po chwili nadchodzą.

Pada decyzja Ojca, byśmy z panem S. zaszli szybko na weksel odwodowy i tam, jeżeli nie ma przejścia postrzałka, rozstawili się.On zaś z naganką pójdzie za farbującym tropem. Idziemy, otrapiam linię—przejścia nie ma. Rozstawiamy się w rzadkiej drągowinie za linią, gdy w zagajnicy pada strzał Ojca. Po chwili słyszę głośne wołanie. A więc dzik dostrzelony! Nie czekając na Sąsiada, gorączkowo biegnę w tym kierunku, by czym prędzej ujrzeć mego odyńca. — Jest, leży na purpurowym od posoki śnieżnym dywanie. Kłapie jeszcze w ostatnich podrygach swymi ostrymi szablami — duży odyniec! Jak przewidywałem, kulę moją dostał na miękkie. Kula Ojca siedzi w samej komorze. Pozbawiła go niepotrzebnych męczarni.

Św. Hubercie, jednak nie zapomniałeś o mnie! Dałeś mi ukoronowanie moich zdobyczy z czasu ferii. — Przyjm z kolei serdeczną podziękę wdzięcznego Ci dłużnika!

Gratulacje — i gałązka złomu tkwi w czapce studenckiej.

Czterech naganiaczy z trudem wyciąga dzika na linię. Ojciec z Sąsiadem idą do leśniczówki, by przysłać furmankę, ja tymczasem zabieram się do patroszenia odyńca. Naganiacze zostają ze mną do pomocy.

O zmroku, z załadowanym dzikiem wracamy do leśniczówki. Następuje uroczysta ceremonia otrąbienia „śmierci dzika".

Wieczorem, po wypiciu toastu, raczymy się pieczoną dziczą wątrobą. Naganiacze zadowoleni z otrzymania butelki „mocnej", życzą mi jeszcze jednego dzika. — Wiem o co im chodzi — jak wypędzicie, będą dwie butelki — handlarze!

*

Upływają ostatnie dni starego roku. Są dla mnie jak i wszystkie inne, niezapomnianymi dniami moich pięknych ferii zimowych. Wciąż wędruję po rozległych polach za zającem. W księżycowe wieczory, ciepło ubrany, patroluję za dzikami. Wczesnymi rankami chodzę na pobliskie bagna na ranny ciąg kaczek. Dość łagodna tegoroczna zima nie zmusiła ich do opuszczenia miejsc stałego bytowania.

Matka wymawia mi, że prawie nigdy nie ma mnie w domu, że tak krótkie mam ferie, że przemęczam się ciągłym chodzeniem, że... — Cóż mam jej odpowiedzieć? — Droga Mamo! wybacz, taka już moja natura, ja właśnie tym sposobem wypoczywam. Nie tyle też chodzi mi o zdobycz, ile o nasycenie się pięknem przyrody, na której łonie mogę spędzić te kilkanaście wolnych od nauki dni. Poza tym wciąż przecież jestem w domu!

Pewnego poranka, wracając z ciągu kaczek, widzę z dala sznurującego przez łąkę lisa. Dźwigając coś, zbliża się w moim kierunku. Ostrożnie chowam się pomiędzy rozrzucone dookoła mnie krzewy łąkowe i czekam. Wiatr pasuje mi. Nic więc nie podejrzewając, zbliża się mikita do krzaków. Rozpoznaję już, że dźwiga upolowaną krzyżówkę. Zwisające skrzydło kaczki przeszkadza mu w sznurowaniu. Co chwilę więc przystaje i poprawia sobie w pysku upolowaną zdobycz. Na pewno myśli już o smacznej uczcie, którą urządzi w zaroślach. Podpuszczam go na dobry strzał, muszka powoli sięga zbójeckiej mordy — palec pociąga za spust. Razem z kaczką lis robi koziołka na śniegu. Jeszcze parę bezładnych ruchów i mądry, stary mikita wędruje do plecaka. Upolował na koniec kaczkę i śmierć. Różnie w życiu bywa.

*

Kończy się stary rok, jutro już ostatni jego dzień— Sylwester. Planuję jakby najpiękniej go spędzić. Niespodziewanie okazja ku temu nadarza się sama. Odbieram telefon z Nadleśnictwa z zawiadomieniem dla Ojca, że w dniu jutrzejszym odbędzie się w leśnictwie O., z udziałem całego personelu Nadleśnictwa, tradycyjne polowanie na dziki, lisy i zające. Spotyka mnie ten wielki zaszczyt, że zostaję przez nadleśniczego p. inż. F., również zaproszony na to doroczne „święto" miejscowych leśników.

O świcie już jesteśmy z Ojcem w punkcie zbornym, którym jest Nadleśnictwo. Wstaje cichy sylwestrowy poranek, gdy trąbka myśliwska głosi kniei dzień łowów. Wśród konarów sędziwych drzew, plącze się melodia hymnu myśliwskiego: „Hej, hej, do kniei!" Ginie powtarzana stokrotnym echem gdzieś w głębi lasów. Serce każdego myśliwego bije żywiej na ten zew. Tradycyjny to zew. — Grali go nasi przodkowie —Wojscy, gramy go i my, ich wnukowie — tak samo jak Oni, gorliwi czciciele Św. Huberta!

W takim nastroju ruszamy gremialnie do lasu, aby spędzić dzień miłych przygód i niezwykłej radości. Wstające leniwie grudniowe słońce zastaje nas już na pierwszych stanowiskach. Złociste jego promienie iskrzą się milionami gwiazd na zmarzniętym śniegu, wywołując w duszy jakiś niezwykły, błogi nastrój, wróżący cudne spędzenie tego sylwestrowego dnia w kniei.

Z głośnym echem padają pierwsze strzały. Zrazu rzadziej, potem coraz częściej. Pierwsza farba krasi biały śnieg. Idzie miot za miotem. Zaraz z rana strzelam pięknego lisa. Mądry on gdy myszkuje, ale w nagance pierwszy sznuruje na linię strzelców. — Koło południa leśniczy p. C. kładzie wcale niezłego dzika. Dla uczczenia tego butelka miodówki krąży wśród myśliwych. Po kilku miotach pada od kuli nadleśniczego, p. inż. F., drugi czarny zwierz. Zające gęsto „okraszają" tę piękną i bogatą zdobycz. Stary rok hojnie darzy nas na pożegnanie, zarówno piękną pogodą, jak i bogatymi trofeami.

Gwarnie wracamy do Nadleśnictwa. Wszyscy są ożywieni przeżyciami tego pięknego dnia. Na dobre dopiero zaczyna się dyskusja, gdy do suto zakraszonego bigosu myśliwskiego i pieczonej dziczej wątroby, pojawiają się na stole „butelczyny". — „Wiwat król!" — Ostry płyn rozgrzewa zmarznięte ciało. Twarze goreją. Robi się coraz gwarniej. Zaczynają się opo-

wiadania z przeżyć dnia. Każdy ma coś ciekawego do opowiedzenia.

Kiedy cały repertuar przeżyć dnia zostaje wyczerpany, myśliwi wracają do wspomnień o dawnych polowaniach, o zdobytych trofeach, o starych tradycjach łowieckich. Słuchający tego młody myśliwy usłyszy niejedną ciekawą historię, nauczy się niejednej pożytecznej rzeczy z dziedziny myślistwa czy łowiectwa wogóle. To przecież pochodzi z ust starych „wilków", którzy na myślistwie „zęby zjedli!"

W takiej atmosferze upływa nam wieczór sylwestrowy. Zbliża się północ. Z piersi wszystkich grzmi gromko hymn myśliwski: „Hej, hej, do kniei!" — To brać myśliwska wita nim Nowy Rok, pełna nadziei, że przyniesie on dużo nowych emocji, wzbogaci w doświadczenia i przeżycia myśliwskie.

*

Po Nowym Roku odbyło się w okolicy jeszcze kilka zbiorowych polowań na zające. Były to ostatnie moje polowania w tym sezonie. I one przysporzyły wrażeń, urozmaiciły okres ferii, wzbogaciły w zdobycz. Obowiązek jednak woła, trzeba wracać w mury szkolne. Dzień wyjazdu zbliża się wielkimi krokami, wraz z nim kończy się okres mego „wyraju" myśliwskiego.

Wł. Fafiński.



I.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI — „Długie Życie" (Wspomnienia). 2 tomy, Warszawa, 1947 r. Wydanie „Biblioteki Polskiej".

Członek naszego Komitetu Redakcyjnego, długoletni redaktor i wydawca popularnego tygodnika „Świat", płodny i wzięty dramaturg, Stefan Krzywoszewski, ogłosił drukiem „Wspomnienia", obejmujące okres od 1866 do 1945 roku. We właściwej mu żywej i pięknej formie narracyjnej, rozsnuwa autor przed czytelnikiem barwny obraz 79 lat życia swego, które toczyło się w epoce wyjątkowo ciekawej. Koniec bowiem XIX stulecia i pierwsza połowa stulecia bieżącego były okresem wyraźnego przełomu w ustroju państw europejskich i ich strukturze społecznej, a zarazem gwałtownych przemian w kierunkach życia intelektualnego i artystycznego. Sprzyjające okoliczności, jak również osobiste upodobania i uzdolnienia autora sprawiły, że Krzywoszewski znalazł się w pobliżu ognisk, w których krystalizowały się nowe prądy. Dało mu to możność zetknięcia się osobistego z wielu najwybitniejszymi działaczami zarówno ze świata literackiego i artystycznego, jak ze sfer bliskich polityce. Toteż czytelnik ma możność zapoznania się dzięki tym „Wspomnieniom" z ludźmi i wydarzeniami, charakteryzującymi na dużym odcinku życie Polski i Polaków w ostatnich latach 80-ciu.

Nas, czytelników „Łowca Polskiego", interesują przede wszystkim karty, charakteryzujące stosunki łowieckie w kraju. A kart tych jest w „Długiem życiu" dużo, gdyż Krzywoszewski był od zarania zapalonym myśliwym, czemu dał wyraz, ogłaszając w 1927 r. piękną książkę p. t. „Z przeżyć i wrażeń myśliwskich", pysznie ilustrowaną przez przedwcześnie zmarłego Kamila Mackiewicza.

Pierwsze zanotowane wspomnienia myśliwskie dotyczą okresu sprzed pierwszej wojny światowej. W latach 1906—9 Krzywoszewski polował pod Warszawą, korzystając z zaproszeń właścicieli dóbr podstołecznych. Na polowania te zjeżdżali przedstawiciele świata literackiego i artystycznego Warszawy: J. Weyssenhoff, Wł. Rabski, Z. Bartkiewicz, Fr. Ejsmond, M. Wywiórski, M. Kotarbiński, A. Breza, St. Lilpop, Ks. Chełmicki. Brał w nich udział również H. Sienkiewicz. Sarn, bażantów, kuropatw było w bród, przyjęcia były zawsze wytworne i obfite — toteż nastroje uczestników biły tętnem żywym. Powściągliwy naogół i raczej milczący Sienkiewicz ulegał ogólnemu nastrojowi i nietylko podtrzymywał go przychylnymi uwagami, ale dawał się ponieść temperamentowi narracyjnemu i wówczas roztaczał przed zasłuchanymi uczestnikami zabawy barwne obrazy swych wrażeń łowieckich z „Czarnego Lądu", które mu dostarczyły później materiału do powieści „W pustyni i puszczy". Pogodnego nastroju nie zdołał zepsuć nawet przykry wypadek postrzelenia kiedyś Sienkiewicza przez zabłąkane śruciny po strzale autora do koguta bażanciego.

Wojna z 1914 roku pociągnęła za sobą dłuższą przerwę. Ale 20-lecie „międzywojenne" dostarczyło znowu Krzywoszewskiemu licznych sposobności do wyżycia się łowieckiego, a zawsze niemal w towarzystwie osób, które w tym okresie skupiały na sobie uwagę ogółu. Że zaś autor potrafił w kilku słowach scharakteryzować sylwetę swych przygodnych towarzyszów łowów, oraz otoczenia i tła, przeto czytelnik otrzymuje żywy obraz warunków, w jakich się myślistwo tego czasu przejawiało.

Mamy więc kolejno opisy polowań — udanych lub zawodnych — na wilki w lasach Pińskich z Generałem Żeligowskim, na wilki i lisy w Nowogródczyźnie na kaczory na słynnych błotach Parohońskich, na głuszce i słonki w Białowieży w towarzystwie W. Korsaka, J. Ejsmonda, S. Lilpopa i gen. Bałachowicza, na pardwy na rojstach litewskich z K. Mackiewiczem i Korkozowiczem, na zające w Spale u Prezydenta, na kaczki na byłych terenach arcyksiążąt austriackich na Śląsku Cieszyńskim, na daniele na Pomorzu itd.

Kto ceni wspomnienia łowieckie, ten dozna prawdziwej przyjemności, czytając „Długie życie" S. Krzywoszewskiego.

Józef Gieysztor.

II.

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego w Łodzi ukazała się w sprzedaży praca płk. HENRYKA ZAPOLSKIEGO-DOWNARA p. t. „Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie". Jest to wydanie trzecie. Dwa poprzednie zostały wyczerpane w sprzedaży jeszcze przed wojną.

Jak wskazuje tytuł, praca ujmuje w całokształt za-

sadnicze elementy, od których zależy dobry wynik polowania. Z dużą znajomością rzeczy, fachowo, a zarazem w sposób popularny i zrozumiały, autor omawia zagadnienie dubeltówki śrutowej, jako podstawowej broni myśliwskiej, znajomość której ułatwi poznanie każdej innej broni.

Pięć pierwszych rozdziałów pracy poświęconych jest opisowi budowy, fabrykacji poszczególnych części dubeltówki, warunkom jej trwałości itp. Następne sześć rozdziałów omawiają proch, śrut, spłonkę, przybitki, jako zasadnicze składniki naboju, ich rodzaje, sposób produkcji, balistyczne właściwości we wzajemnym współdziałaniu, wreszcie łuskę, łączącą proch, śrut, spłonkę, przybitkę w jedną całość — nabój. Następne dwa rozdziały poświęca autor omówieniu nie mniej ważnych zagadnień, jak przystrzelenie, dobranie odpowiedniego naboju do posiadanej broni, warunków i sposobu oceny jakości strzału oraz samej umiejętności strzelania — tego podstawowego, najważniejszego warunku, od którego uzależniamy wynik każdego polowania, a nawet zakwalifikowanie samego myśliwego. Dodatkowym uzupełnieniem pracy jest omówienie czyszczenia i konserwacji broni.

Jak widzimy praca płk. Zapolskiego ujmuje wyczerpująco zagadnienia związane z używaniem broni śrutowej, poczynając od fabrykacji, a kończąc na umiejętności poprawnego strzelania, omawiając zaś te zagadnienia podaje równocześnie teoretyczne ich podstawy.

Pomijając kwestię praktycznych rad i wskazówek, jakie daje autor, znajomość poruszanych zagadnień jest nieodzownym warunkiem stania się dobrym myśliwym. Dlatego też omawiana praca zasługuje na nazwę podręcznika myśliwskiego — niezbędnego nie tylko dla początkującego myśliwego, zwłaszcza wobec projektowanych egzaminów dla nowowstępujących w „Zakon św. Huberta", lecz i dla myśliwego o wieloletnim już uprawianiu łowiectwa.

J. Świtajło, mjr.

JÓZEF NIEWIAROWSKI.

O WSTĘPNEJ KONSERWACJI SKÓREK

(przed oddaniem do preparatora).

O zabezpieczeniu ściągniętych skórek przed oddaniem do preparatora pisano już wielokrotnie na łamach „Łowca Polskiego". Ponieważ jednak w ostatnich czasach coraz więcej otrzymuję skór zwierząt i skórek ptasich niezdatnych do dalszego preparowania, więc chciałbym PP. Myśliwym przypomnieć o pewnych zasadniczych momentach, t. zw. wstępnej konserwacji, czyli o pierwszych zasadniczych zabiegach zabezpieczających, doraźnie stosowanych u świeżo ubitych zwierząt.

Prawidłowe ściągnięcie skóry, względnie zabezpieczenie jej przed gniciem, leży w interesie samego myśliwego, który pragnie, by jego zbiory przedstawiały nie tylko wartość materialną, lecz przede wszystkim naukową. Kolekcjonowanie zwierząt wydaje się naogół rzeczą łatwą, tymczasem w praktyce każdy zbieracz napotyka na cały szereg trudności, wynikłych z nieznajomości techniki ściągania skór i skórek, sposobów konserwacji i t. d. Zasadniczym błędem popełnianym przez niektórych myśliwych jest zbyt długie przechowywanie u siebie ubitego zwierzęcia, które, zanim zostanie odesłane do preparatora, już jest w stanie częściowego lub nierzadko kompletnego rozkładu. Ubite zwierzę winno być możliwie jak najszybciej dostarczone preparatorowi. Dłuższe (kilkudniowe) przechowywanie ubitego okazu jest dopuszczalne tylko w zimy ostre. Pamiętajmy, że o wartości spreparowanego okazu decyduje termin oddania go po ubiciu do preparatora.

Preparatorowi można oddać okazy niepatroszone (z wnętrznościami), względnie patroszone (skórki). Ostatnie wymagają dużej wprawy, praktyki i doświadczenia. Skóry nieprawidłowo ściągnięte, a co gorsza pokaleczone, znacznie tracą na swej wartości. Najczęściej przy tym sierść takich skór bywa poplamiona krwią i surowicą, a na stronie wewnętrznej znajdują się resztki mięsa. Wszystko to razem w dużym stopniu utrudnia preparowanie. W razie niemożności natychmiastowego oddania okazu preparatorowi i konieczności ściągania skóry „na miejscu", najlepiej jest przy tym asystować i osobiście dopilnować wszelkich czynności. Jedyna to gwarancja otrzymania dobrej, czystej i zdrowej skóry, nadającej się do wyprawienia, względnie wypchania.

W wypadku, jak już wspomniałem, konieczności ściągnięcia skóry, np. ssaków, należy zwrócić specjalną uwagę na prawidłowe i symetryczne cięcia wzdłuż linii środkowej brzucha od mostka do odbytu oraz cięcia na odnóżach. Pamiętać również należy o zatykaniu u ssaków watą otworu pyskowego i odbytowego, z których to bardzo często wylewają się różne płyny, plamiące skórę i sierść. Po ściągnięciu skórę trzeba natychmiast dobrze nasolić zwykłą solą kuchenną i zwinąć.
Jeżeli natomiast zachodzi konieczność przetrzymywania przez dłuższy okres czasu całego ubitego zwierzęcia, to wystarczy wypatroszyć je i nasolić. Do pyska, po uprzednim nasoleniu, należy włożyć watę, która wchłania wydobywające się płyny i w ten sposób chroni przed poplamieniem sierści.

Ściąganie skórek z ptaków jest jeszcze trudniejsze niż z ssaków. Wymaga ono niebywałej zręczności. Delikatna skórka ptaka szybko rwie się i kaleczy. Ponieważ niektóre okazy ptaków należą do prawdziwych rzadkości, więc lepiej nie ryzykować i oddać do ściągnięcia preparatorowi.

Z ubitym ptakiem postępujemy podobnie jak z ssakiem. Po usunięciu wnętrzności jamę brzuszną wysypujemy solą, jak również i gardziel, poczem zatykamy watą. Uważać tylko trzeba, by piór nie poplamić krwią, która je niszczy i trudno daje się z nich usunąć. Jeżeli posiadamy samą ściągniętą skórkę, to wystarczy ją wewnątrz wysolić i pozostawić w chłodnym miejscu.

Tego rodzaju postępowanie z zabezpieczeniem przed zepsuciem się ubitej zwierzyny zaoszczędzi PP. Myśliwym dużo pieniędzy, a przede wszystkim przykrych niespodzianek.

J. Niewiarowski, preparator
Państwowego Muzeum Zoologicznego.

PLAGA DZIKÓW I „WCZASY“

Ukazują się na łamach prasy naszej, od czasu do czasu, wzmianki o nadmiernym rozmnożeniu się dzików, wyrządzających duże szkody na polach okolicznych, głównie na Ziemiach Odzyskanych. Prawdopodobnie w celu zwalczania tej „plagi" Ministerstwo Leśnictwa wydało zarządzenie, wprowadzające nie-niepraktykowane u nas jeszcze „wczasy łowieckie". A więc wśród szerokich rzesz wyznawców św. Huberta radość nie mała... a w rzeczywistości!?

Pragnąc dla podleczenia nerwów i zapomnienia o troskach codziennych skorzystać z „wczasów", a marząc w skrytości ducha o spotkaniu się oko w oko z królem naszych kniei — odyńcem, postanowiłem wraz z czterema kolegami wyruszyć na „dziki" Zachód. Zaproszenie na „wczasy" otrzymałem od Dyrekcji Lasów Państw. w Gorzowie (ziemia Lubuska), oraz Dyrekcji w Szczecinku. Ponieważ w tej ostatniej kierownikiem działu łowieckiego jest przyjaciel mój, znany czytelnikom „Łowca" przedwojennego przemiły kompan p. Wł. Zabiełło, wybraliśmy Szczecinek, chociaż do Gorzowa ciągnęły nas bażanty.

Umówiłem się z towarzyszami, że o ile w niedzielę 25.I.1948 r. nastaną odpowiednie warunki atmosferyczne, t. j. mróz i śnieg, jedziemy na tydzień.

W niedzielę 25.I.1948 r. było... 8 stopni powyżej zera, a śniegu ani śladu, więc... pojechaliśmy. Już na dworcu zaczął się pech! Informator skierował nas do niewłaściwego pociągu. Zamiast do Bydgoszczy pojechaliśmy na Poznań. W wagonie zabijaliśmy czas bridżem, a koledzy, jak mówili, także „lemoniadą". Nastrój 200% ponad normę. Jakoże... itd.

Po 20 godzinach podróży i 2 „przesiadkach", szczęśliwie wylądowaliśmy w Szczecinku. Bardzo gościnnie przyjęci skierowani zostaliśmy do Nadleśnictwa Złociniec, odległego o 60 km.

Kierownik Nadleśnictwa, p. inż. Podkówka, zaopiekował się nami szczerze i wczesnym wieczorem byliśmy już na miejscu. Następnego dnia p. nadleśniczy odczytał nam rozporządzenie Min. Leśnictwa o „wczasach", kategorycznie zabraniające stosowania naganki, nawet składającej się z jednego człowieka. Miny zrzedły nam mocno.

W tym miejscu chciałbym zapytać pana referenta Min. Leśnictwa (nie wątpię, doświadczonego myśliwego), jak wywabić dzika z gęstwiny? Gdyby miał rogi, można by go za nie „wywieść z ostępu". O strzale na pomyka nie ma mowy. To samo z lisem. A więc „wczasy" redukują się do... spaceru po lesie. Zaiste! zbyt fatygująca i droga przyjemność. Po co jechać 600 km, kiedy można spacer w lesie znaleźć o 20 km od Warszawy. Ale cóż mieliśmy począć? Wracać bez strzału do domu i narazić się na śmiech...

Pan nadleśniczy przydzielił nam 2 leśników z psami, oddając do naszej dyspozycji „okrawki" terenów, ponieważ na centralnych obiecał zapolować wspólnie z nami pan Dyrektor Dyrekcji Lasów Państwowych. W przepisach ministerialnych o „wczasach", nie ma zastrzeżeń co do psich naganek, więc w towarzystwie leśników oraz ich psów udaliśmy się do oddalonego o 12 km lasu na „łowy". Po całodziennym buszowaniu po lesie ubiliśmy 1 lisa i widzieliśmy 1 dzika. Więc postanowiliśmy zrezygnować z terenów „obfitych" w dziki, oraz z gościnności miejscowego nadleśnictwa i przenieść się do Dyrekcji Gorzowskiej, lecz uprzejmy pan nadleśniczy radził doczekać się przyjazdu p. Dyrektora.

Tak zeszło 4 dni naszego żywienia się „okrawkami". Piątego dnia oświadczono nam, że pan Dyrektor... nie przyjedzie.

Ponieważ „okrawki" już się skończyły, tegoż dnia wyjechaliśmy. „Wczasy" się skończyły, a skończyły się z wynikiem ujemnym dla myśliwych, wybierających się na tak reklamowaną inowację „wczasy" w dobrej wierze. Dodawać nie potrzebuję, że jest to impreza dosyć kosztowną.

Ale gdzie ta obfitość dzików, panie Dyrektorze, o których się ogłasza w „Łowcu" (Nr. 6 z 1947 r.) w tak zachęcający sposób? Po 4 dniach polowania w 5 strzelb na terenie około 3.000 ha widziano jednego większego dzika i 9 warchlaków. Ogólny rezultat polowania: trzy dziki łącznej wagi (po wypatroszeniu) 102 kg i 1 lis. Pudeł mało. Nie było do czego strzelać! Więc gdzie tu „plaga"? Niżej podpisany wystrzelił 1 (jeden) raz w ciągu czterech dni.

Z dzikami jest źle, a będzie gorzej, o ile czynniki miarodajne nie zaintersują się tą sprawą szczerze. W krótkim czasie dziki będą u nas tylko w rezerwatach. Sprawa nie jest beznadziejną. Potrzeba do niej zamiłowania i dokładnego zbadania przyczyn stale pogarszającego się zwierzostanu.

Niech mi wolno będzie na tym miejscu podziękować panu Wł. Zabiełło i p. Nadleśniczemu inż. T. Podkówce, młodemu, sprężystemu i dobrze zapowiadającemu się administratorowi, za Ich życzliwe ustosunkowanie się do „wczasowiczów". Darzbór!

Marian Łopuszyński,

prezes Kółka Myśliwskiego w Mrozach.



ANTONI BRUDNICKI.

PODSTAWOWE WIADOMOŚCI O WYCHOWIE, KARMIENIU I TRESURZE PSÓW MYŚLIWSKICH W DOMU I W POLU.

CZĘŚĆ I.

Wychów i karmienie psów.

Od szeregu lat, jako myśliwy, uprawiam amatorsko hodowlę psów myśliwskich. Psy wychowywane w mej psiarni „SPLENDOR" i układane pod moim kierunkiem brały udział w wielu wystawach psów rasowych, oraz na konkursach i próbach polowych, zdobywając wybitne miejsca.

Wobec powyższych wyników bardzo wielu właścicieli psów zwraca się do mnie z prośbą o rady i informacje ogólno - hodowlane. Dlatego pragnę podać wszystkim zainteresowanym krótko i przystępnie ujęte zasadnicze wiadomości o racjonalnym wychowie i tresurze psów, które należy indywidualnie stosować zależnie od rasy. Do psów myśliwskich zaliczone są: pointry, settery, wyżły kontynentalne, spaniele, charty, ogary, jamniki, foksteriery i inne.

*

Racjonalny wychów i żywienie psa wpływa dodatnio na jego zdrowie, dobrą budowę i odporność, zaś ułożenie wstępne uczyni go posłusznym i miłym dla otoczenia, a psom użytkowym ułatwi przyszłą tresurę.

Dobór rodziców (selekcja), następnie wychów i karmienie są to podstawowe czynniki do otrzymania dobrze zbudowanego, odznaczającego się walorami sportowymi psa użytkowego, myśliwskiego lub służbowego.

1. Pomieszczenie psa.

Szczenię chowane w mieszkaniu, czy też na dworze po zabraniu od matki (w 6—8 tyg. życia), powinno mieć swoje posłanie w miejscu spokojnym, nienarażonym na przeciągi, chłód, wilgoć, upał — najlepiej na wzniesieniu, izolowanym od ziemi. Na dworze chowany malec powinien mieć budkę z osłoniętym wejściem, by mógł, w nocy zwłaszcza, ogrzać się dostatecznie własnym ciepłem. Dobre są budy rozbierane w celu dezynfekcji z opadającą automatycznie zasłoną, nie krępującą psa.

Budę na okres zimowy trzeba zaopatrzyć w podwójne ściany z ubitą wewnątrz słomą, mchem lub igliwiem i przystawić przedsionek, zabezpieczający od zawiei i zimna; można też pojedyńcze ściany obić papą i matą słomianą. Na posłanie używamy słomę, którą trzeba codziennie wzruszyć. Raz na tydzień słomę zmieniać, dezynfekując jednocześnie budę. Zamiast słomy nadaje się na posłanie wełna drzewna lub wiórki. Nieodpowiednie zaś jest siano, jako zbyt aromatyczne, co wpływa ujemnie na wrażliwy węch psa. Ściółka może być umieszczona w płóciennym sienniczku, który należy zmieniać w miarę potrzeby.

2. Spacery.

Przy właściwym wychowaniu piesek powinien mieć kilka godzin dziennie swobody na świeżym powietrzu, by mógł wyharcować się do woli. Ruch ten nieodzowny jest do ogólnego rozwoju, dobrego trawienia i apetytu. Pies wychowywany w mieście pozbawiony jest większej swobody.

Od 2—3 miesięcy życia przyzwyczajamy go do chodzenia na smyczy w obróżce lub na szeleczkach. Wymagny jest również kaganiec. Psy z początku opierają się tym nieprzyjemnym dla nich inowacjom, dość szybko jednak się przyzwyczajają. Gdy malec zacznie spokojnie chodzić, trzeba go pochwalić. Jeśli dwoje lub więcej szczeniąt przebywa razem, nie należy zostawiać im obróżek na szyjach, bo wzajemnie pogryzą je sobie i szybko zniszczą.

Jeżeli mamy przejść przez jezdnię, należy zatrzymać się na brzegu chodnika i poczekać chwilę, a psa skłonić, by przysiadł. Tym sposobem podkreślamy, że swobodnie sam przez jezdnię przechodzić nie powinien, nawet, gdy po drugiej stronie zauważy znajomego, którego rad by jak najprędzej powitać. Kiedy pies to zrozumie i nauczy się chodzić na smyczy po lewej stronie prowadzącego, zaczynamy prowadzić go bez smyczy w miejscach mniej ruchliwych. Jeśli zbyt się oddali, przywołujemy go dwoma krótkimi gwizdkami. Trzeba mieć dla niego jakiś przysmak, aby chętnie na gwizd wracał, względnie pochwalić go za posłuszeństwo. Jeżeli samowolnie przebiegnie na drugą stronę ulicy, wzywamy go, bierzemy na smycz i strofujemy słowem „nie wolno". Za karę można skrócić spacer w tym dniu i mniej do psa rozmawiać. Po kilku lekcjach piesek to zapamięta. Wychowawca nigdy pierwszy przechodzić przez jezdnię nie powinien, zostawiając psa na chodniku, tylko razem z psem.

Gdy faworyt zmoknie na spacerze, trzeba po przyjściu do domu wytrzeć go do sucha, chroniąc przed zaziębieniem. Po tych zabiegach należy rozkazać psu iść na swoje miejsce. Piesek nie powinien naprzykszać się przy stole o podawanie mu przysmaków. Przyzwyczajenie psa do tego jest dużym błędem, tak jak zbytnie rozpieszczenie. Nie można pozwolić, by wspinał się przednimi łapami na ludzi, co nie dla wszystkich może być przyjemne, a w dni słotne naraża na brudzenie ubrania.

3. Nauka porządku.

Szczenię, przebywające w mieszkaniu, uczymy jak najwcześniej przestrzegania porządku w załatwianiu swych potrzeb fizjologicznych. Piesek łatwo przyzwyczaja się wypróżniać w jednym miejscu. Nie zawsze sam odpowiednio je wybierze, sprawiając tym kłopot; musimy to przewidzieć i przeznaczyć na ten cel (póki

się szczenię nie nauczy) — kącik z postawioną płaską blachą, łatwą do wymywania, z piaskiem lub trocinami. W pokoju, gdzie pies przebywa, lepiej nie rozścielać chodników, które trudno prać, gdy je pies zabrudzi, a pobudzany nasiąkniętą wonią, będzie z nich dalej korzystał, uważając, że tak trzeba.

Aby uniknąć zanieczyszczenia mieszkania, należy często wypuszczać wychowanka, jeżeli są na to odpowiednie warunki (np. do ogrodu, podwórza ogrodzonego) lub przechadzać się z nim, by nie dopuścić do wypróżniania w domu. W miarę kojarzenia myśli u szczenięcia, wytworzy się zdolność organów do wstrzymywania wypróżnienia, czego jednak nie należy przeciągać ze względów zdrowotnych.

Taktownym postępowaniem nauczymy psa porządku. Gdy zauważymy, że piesek szuka sobie miejsca, trzeba niezwłocznie z nim wyjść. Jeżeli zaś zanieczyści mieszkanie, strofujemy go za to i dajemy klapsa. Karanie psa po pewnym czasie od dokonania przekroczenia mija się z celem, gdyż piesek już nie pamięta swej winy i staje się lękliwy, nie wiedząc za co niespodzianie może spaść na niego kara. Stopniowo przyzwyczai się do porządku i będzie oznajmiał skomleniem przy drzwiach, by z nim w odpowiedniej chwili wyjść. Psy zostawione nieraz kilka godzin w domu oczekują cierpliwie przyjścia właściciela, o ile naturalnie nie zachodzi przyczyna jakiejś dolegliwości.

Powinno się wyprowadzać psa rano dla załatwienia potrzeb naturalnych, w ciągu dnia co 3 godz. i późnym wieczorem. By nie być niepokojonym w nocy przez psa, wskazane jest nie przekarmiać go zbytnio i ograniczyć ilość płynów wieczorem. Prowadzić trzeba psa jezdnią, idąc samemu brzegiem chodnika. Uważać, by samowolnie nie wchodził do bram domów i sklepów, żeby nie naraził nas na nieprzyjemne uwagi, lub nie zabłąkał się.

4. Czystość psa.

Chcąc utrzymać psa czysto i higienicznie, należy na jego toaletę przeznaczyć 10—15 minut dziennie. Przede wszystkim nie dopuścić do insektów i kontrolować czystość skóry i sierści gęstym grzebieniem i szczotką. Jeżeli pies jest zaniedbany po przybyciu ze wsi, z otoczenia psów, trzeba doprowadzić go do pożądanego stanu pod względem czystości. Powinno się czesać umiejętnie, nie po grzbiecie, przeciągając skórę na bok, by nie wywołać skaleczeń lub nie powiększyć ich, jeśli są. W celu gruntownego oczyszczenia psa najlepiej przygotować napełnione wodą płaskie naczynie, by zczesane pchły łatwo strząsnąć z grzebienia w wodę.

Na kilka godzin przed czesaniem wysypać skórę psa specjalnym proszkiem dla zwierząt domowych, nie drażniącym błon śluzowych nosa, oczu i nieszkodliwym dla stworzeń. Chcąc zabezpieczyć się przed insektami, psy same tarzają się w nieczystościach. Jest to niemiły nałóg, wywodzący się jeszcze od psa dzikiego. Aby odzwyczaić wychowanka od tego, strofujemy szczenię na gorącym uczynku rózeczką lub bacikiem. Nie należy bić psa smyczą, gdyż wzbudzi się obawę i odrazę do niej.

Jeśli chodzi o psa starszego, przeprowadzamy lekcję karną, mianowicie na kolczastej obroży czołganie się do miejsca, gdzie się zabrudził. Jest to dla psa dużą karą. Przed kąpielą na kilka godzin także obsypujemy psa proszkiem przeciw insektom i ich zarodkom. Do kąpieli zaś używamy specjalnego mydła dezynfekcyjnego. Po kąpieli należy dobrze wytrzeć i wysuszyć psa. Do codziennych zabiegów należy przecieranie uszu, najlepiej pincetą z nawiniętą watą, zwilżoną w słabej wodzie utlenionej. Oczy, nos i pyszczek przemywamy roztworem kwasu bornego.

Do wychowu psa potrzebny jest sprzęt następujący: 2 miski kamienne (o kształcie jak pod doniczki) na jedzenie i na wodę; do czyszczenia psa — grzebień gęsty, szczotka, pinceta, zakończona tępo do uszu, mydło do kąpieli specjalne, dezynfekcyjne i takiż proszek przeciw insektom. Poza tym obroża (parforce) tresurowa, ściągana, z dwoma kółkami, smyczka rzemienna i łańcuszkowa do wiązania w domu, kaganiec druciany, przepisowy, higieniczny, łatwy do zdezynfekowania i chroniący psa przed zjedzeniem podejrzanych i szkodliwych odpadków.

5. Karmienie.

Niżej podane porcje stosuje się dla psów większych, jak: pointry, wyżły kontynentalne, settry, charty, ogary; dla mniejszych, jak spaniele, foxteriery i inne redukujemy dawki do połowy, a dla mniejszych jeszcze do ¼-tej. Dwumiesięczne szczenię, zabrane od suki, którego waga wynosi od 6,5—6,8 kg, karmimy 5—6 razy dziennie w ustalonych godzinach. Jeżeli razem chowamy więcej szczeniąt, każdemu dajemy oddzielną porcję. Resztek nie zostawiamy, jedynie czystą wodę do picia. Zimą dajemy jedzenie cieplejsze, latem chłodniejsze. Podstawowym pokarmem psa, jako stworzenia mięsożernego, wbrew mniemaniom, jest mięso surowe mielone lub parzone.

Dla 2-miesięcznych szczeniąt przeznaczamy 10—15 dkg dziennie mięsa, oraz kości i miękkich chrząstek do 10 dkg (cielęciny, wołowiny lub koniny). Mleka do pół litra dziennie na sztukę. Może być rozcieńczone naparem rumianku.

Dla odmiany zamiast mięsa mieszamy z jarzynami kiszkę kaszaną. Jarzyny dajemy jako surówki przetarte lub gotowane ugniecione: marchew, buraki, szpinak, brukiew, groch, kartofli jak najmniej, jako pożywienia obfitego w skrobię.

Jako dodatek do mięsa zamiast jarzyn na zmianę dajemy kasze: owsiankę (herculo), gryczaną, jęczmienną, jaglaną itp. Mięso miesza się z jarzynami, lub kaszą do pół kg łącznie na dzień. W upalne dni mięso należy zastąpić sucharami z chleba (niezapleśniałymi). Dla słabszych szczeniąt do jedzenia lub mleka wbijamy 2 jaja z utłuczoną skorupką, surowe lub parzone. Do jarzyn dolewamy łyżkę tranu lub oleju jadalnego. Wszystko do smaku posolone i okraszone, z cebulą posiekaną surową lub smażoną.

W porze zimowej — podwójnie tłusto, gdyż powiększa to wydajność ciepła (kalorii) organizmu. Przy braku apetytu można dać psu śledzia wędzonego lub innego z łebkiem i ogonkiem.

W razie zbyt wolnych wypróżnień, usuwamy z pożywienia mleko i herculo, a dajemy ryż na wodzie z mięsem. Przy obstrukcyjnych wypróżnieniach daje się mleko surowe albo zsiadłe i owsiankę.

Dla zorientowania przytaczam najtaniej kalkulujące się produkty mięsne do karmienia.

Tłuszcz do okrasy: słonina, smalec z cebulą lub o połowę tańsze skrawki wytapiane z łoju; dostać je można w jatkach. Mięsem tańszym od wołowego o 50% jest konina, od niej zaś o połowę tańszy jest gulasz cielęcy, okrawki, chrząstki; poza tym podroby: serce, wątroba, żołądek i flaki, kości łopatkowe, grzbietowe. Łebki cielęce porąbane drobno są dobre do nagotowania po usunięciu oczu, zębów i móżdżku przez rzeźnika.

3 miesięczne szczenię waży 8—10 kg. Pożywienie dostaje 4—5 razy dziennie. Ilość potraw zwiększamy. Mięso od 15—25 dkg. Chrząstek i kości do 10 dkg. Mleka około 3/4 litra, można i 2 jaja. Kaszy i jarzyn do ¼ kg dziennie.

Od 3-go miesiąca życia począwszy do 6-ciu szczenię zaczyna zmieniać zęby mleczne na stałe, białe, mocne. Przejawia się to gryzieniem różnych przedmiotów w domu, nie trzeba jednak dawać mu gumowych zabawek, a raczej naturalne kości miękkie i suchary odżywcze.

4-ro miesięczne szczenię ma wagę — 11½—12 kg. Mięsa zwiększamy do 30 dkg, 2 jaja, kości i chrząstek od 15—25 dkg. Mleka litr. Ilość jarzyn i kaszy w miarę potrzeby zwiększyć. Karmić nadal 4—5 razy na dzień.

5—6 miesięczne szczenię ma wagę od 14—16 kg. Karmimy najmniej 4 razy dziennie. Mięsa 40 dkg, drobno krajanego lub siekanego, 2 jaja, litr mleka, Chrząstek i kości 25 dkg. Zwiększyć ilość jarzyn, kaszy i tłuszczu.

Po 6-ciu miesiącach—waga wzrasta od 18 kg wzwyż. To samo pożywienie 3 razy dziennie obficie. Ilość jaj zmniejszyć do 1-go.

Po 10-ciu miesiącach — waga około 20 kg. Karmimy 3 razy dziennie, treściwie. Mięsa do 1 kg dziennie, kości i chrząstek ½ kg, kaszy i jarzyn dowoli, dobrze okraszonych. Mleka od ½ litra.

Po 1 roku życia—waga w przybliżeniu od 20—22 kg. Karmimy 2 razy dziennie obficie do syta.

Pies uważany jest za dorosłego po 1½ roku życia. Waga orientacyjna od 23 do 28 kg.

6. Wzrost i rozwój mięśni.

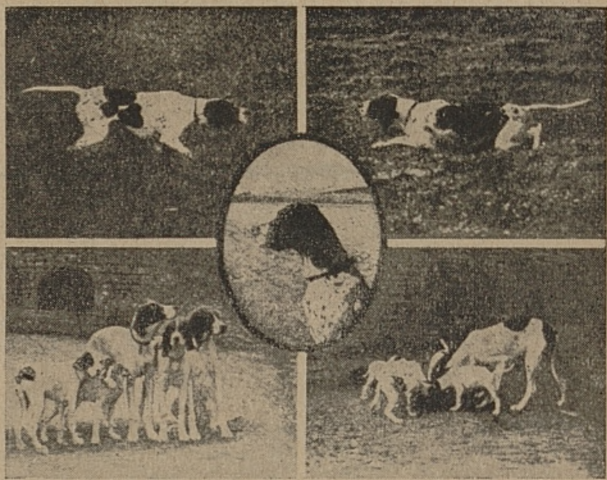
Oprócz pokarmów wymienionych, dowolnie dobieranych do roku życia psa, dopomagamy do kształtowania kości i budowy mięśni dodając do jedzenia specjalną mączkę odżywczą (preparat tranowy), w skład której wchodzą kość mielona, glicerofosfat, witakalk, zawierające witaminy (A. B.) dla wzrostu i budowy mięśni.

Zimą dajemy odpowiednio przygotowaną emulsję tranową, uodporniającą także przed chorobami infekcyjnymi, a przede wszystkim przed chorobą angielską.

Szczenię, jeśli w pokarmach nie dostaje tych składników, gryzie mur, węgiel, zjada popiół. Wskazuje to, że organizm upomina się o potrzebne mu do rozwoju substancje odżywcze. Jeśli nie będzie zasilony niemi, grozi mu w większym lub mniejszym stopniu krzywica, ujawniająca się zgrubieniem stawów nóg, na żebrach zaś paciorkami rachitycznymi. W odstępach między porcjami wskazane jest dawać po kawałku sucharów leczniczych, które psy chętnie chrupią. Suchary te polecić można na wycieczki, polowania i podróże latem i zimą.

Najszybciej pies rośnie od 2 do 7 miesięcy życia, później tempo wzrostu zmniejsza się, pies natomiast bardziej rozrasta się, mężnieje.

Wzrost psa dorosłego pointra, settra, wyżła kontynentalnego waha się od 50—55 cm (niski); od 55—60 cm wzrost normalny (średni) i od 60—65 cm (wysoki).



Psy z hodowli „Splendor"

Mierzymy psa przystawiwszy centymetr pionowo do podłogi, licząc od poziomu łopatek, na których kładziemy równo deseczkę.

7. Kontrola stanu zdrowotnego psa i wskazania zapobiegawcze.

Najbardziej wrażliwe na infekcję jest szczenię po odebraniu od suki, tj. po przejściu na inny pokarm, do którego nie zalicza się pokarm matki. Nie powinno się narażać małego pieska, lokując go do ośrodka gdzie są starsze psy, które mogą być roznosicielami infekcyj.

Zdrowy pies powinien być wesoły, sierść mieć gładką, połyskującą, natomiast pies chory wygląda odwrotnie, niekiedy zauważyć u niego można bladość warg i dziąseł. Temperatura psa zdrowego wynosi 38°— 38,5°C. Ciepłotę wewnętrzną mierzymy zwykłym termometrem lekarskim, którego koniec z rtęcią nawazelinowany wsuwamy w odbytnicę psa. Po chłodnym lub ciepłym nosie psa, nie możemy sądzić o jego temperaturze wewnętrznej.

Odrobaczenie ma na celu usunięcie pasorzytów kiszkowych. W odstępach czasu co 2—3 miesiące wskazane jest przeprowadzenie kuracji odrobaczeniowej (przeciw glistom).

Obecność pasorzytów zauważyć można przede wszystkim wtedy, gdy psy źle wyglądają mimo dobrego karmienia, sierść mają matową, brak apetytu, drgawki, odbijanie się po posiłkach, czasem wzdęty brzuch lub torsje, a także drgawki w czasie snu. Pies odczuwa swędzenie odbytnicy i wskutek tego czasem suwa się na zadzie. Zdarza się, że pasorzyty występują wyraźnie w wydzielinach. Dokładne stwierdzenie obecności pasorzytów może wykazać analiza. Pies męczony przez glisty, chcąc oczyścić sobie przewód po-

karmowy, zjada na spacerach wszelkiego rodzaju znalezione nieczystości, jak: ekskrementy ludzkie, zwierzęce, słomę, trawę, nawet sznurki, czym wywołuje torsje. Niestosowanie kuracji odrobaczeniowej tamuje ogromnie rozwój psa.

Przeciw nosówce już w 4-ym miesiącu życia można psa uodpornić odpowiednimi zastrzykami (krajowymi lub zagranicznymi), które w wielu wypadkach, jeśli nie całkowicie zapobiegają, to jednak w znacznym stopniu przyczyniają się, iż pies przechodzi w lżejszej formie tę poważną chorobę i łatwiej ją zwalczy.

Przemijające trudności, związane z wychowem, nie powinny osłabić naszego sentymentu i przyjemności posiadania swego psa, który odwdzięcza się nam prawdziwym przywiązaniem i użytecznością.

Trudy i praca, włożone w staranne karmienie i wychowanie, dadzą nam nie tylko osobiste zadowolenie z wyglądu i prawidłowej budowy (exterieur) naszego psa, ale pozwolą również na uzyskanie odznaczenia na Wystawach Psów Rasowych.

Szczegóły, dotyczące wystaw i pokazów, sposób oceny i nagradzania psów rasowych, zamieszczone są w „Kalendarzu Myśliwskim na r. 1948", wydanym przez Polski Związek Łowiecki w Warszawie.

A. Brudnicki.

GŁOS JEDNEGO Z MŁODYCH

Artykuł p. Jerzego Oświecimskiego pt.: „Łowiectwo a młodzież" — drukowany w numerze styczniowym (r. 1948) „Łowca Polskiego"— przeczytałem z żywym zainteresowaniem, a nawet ze wzruszeniem, albowiem znalazłem w nim moje własne spostrzeżenia, sądy i refleksje na temat przyrody — sprecyzowane w sposób wyrazisty, trafiający do przekonania każdego, kto ceni i kocha przyrodę, zwłaszcza przyrodę ojczystą. Jako szczery miłośnik przyrody — z moich dotychczasowych obserwacji wysnułem wniosek, że u nas, a szczególnie wśród mieszkańców miast, znajomość przyrody jest bardzo nikła, a miłość przyrody i jej poszanowanie tak w mieście, jak i na wsi objawia się rzadko, natomiast bardzo często spostrzegam zjawiska świadczące o zupełnej obojętności na piękno i wartość przyrody, a kilkakrotnie byłem świadkiem bezmyślnego, a nawet brutalnego niszczenia skarbów przyrody. Dlatego apel p. Oświecimskiego skierowany do młodzieży, nawołujący do krzewienia kultu przyrody, trafił wprost do serca mego i podsycił pragnienie wykorzystania każdej sposobności do zaszczepiania i rozwijania znajomości i miłości przyrody wśród najszerszych mas naszego społeczeństwa.

Pomimo, że kocham przyrodę, zachwycam się jej pięknem, podziwiam prawidłowość zjawisk, śledzę życie przyrody ciekawe, bujne, pełne niezbadanych jeszcze tajemnic, oceniam korzyści materialne i duchowe płynące z przyrody, interesuję się łowiectwem, jestem stałym czytelnikiem i gorącym zwolennikiem „Łowca Polskiego", pragnę pracować w dziedzinie leśnictwa, jednak nie ośmielam się jeszcze zabierać głosu w sprawach łowiectwa, poruszonych w cennym artykule p. Oświecimskiego. Pragnę tylko zaznaczyć, że dokładne poznanie przyrody i jej praw przygotuje trwałe podłoże do kultu przyrody i kultu prawidłowego, racjonalnego łowiectwa, oraz, że apel p. Oświecimskiego, wzywający młodzież do poznania i kochania przyrody i szerzenia jej kultu, jest bardzo poważny i aktualny.

Ażeby jednak młodzież mogła umiejętnie i skutecznie krzewić kult przyrody — musi tę przyrodę poznać bezpośrednio, musi odczuć jej czar i błogosławiony wpływ na duszę i ciało człowieka, oraz ocenić wartość przyrody jako skarbu narodowego. A młodzież miejska zna przyrodę przeważnie tylko z literatury, sztuki, albo z nielicznych fragmentów podmiejskich. Sądzę, że młodzież miejska przyjęłaby chętnie gościnę wakacyjną u pp. leśników, rolników, a wzamian za pomoc w pracy — otrzymała by fachową wiedzę i możność bezpośredniego obcowania z przyrodą. A przyroda polska jest tak pełna krasy i majestatu, że kto ją pozna musi pokochać i ochraniać.

Grabikowski Tadeusz
student I r. leśnictwa U. J.
(Kraków, Słowiańska 2 m. 7).



Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 823. – III. 48. 25.000. –B–43148.

»Myśliwski Konkurs Fotograficzny«

Stosownie do ogłoszenia, zamieszczonego w Nr. I-m „Łowca Polskiego" z dniem 1 kwietnia upływa termin nadsyłania zdjęć na Myśliwski Konkurs Fotograficzny. Wobec jednak zwłoki, powstałej w rozsyłaniu zeszytu I-go naszego pisma z powodu powolnego napływu adresów członków Związku, przesuwamy termin nadsyłania zdjęć do dn. 1 maja r. b.

Przypominamy, iż Konkurs zorganizowany został specjalnie dla fotografów-amatorów, że zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym, niż 9 X 12 cm. Fotografie mogą być nadsyłane bądź seriami (najmniej 3 zdjęcia), bądź pojedyńczo i oznaczone jakimś godłem. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I-szą wyznaczamy dla serii — 10.000 zł., dla fotografii pojedyńczej — 5.000 zł.; jako nagrodę II-ą — odpowiednio 6.000 i 3.000 zł.; jako nagrodę III-ą — 4.000 i 2.000 zł.

Sąd Konkursowy stanowić będzie Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego" oraz zaproszony do składu Sądu — Kol. Wł. Puchalski.

REDAKCJA.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych bez zwłoki.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Wydawca — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.